



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIE?Y

ROK 1924. WARSZAWA, 13 WRZEŚNIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

## T RE Ś Ć N U M E R U :

Udział kobiet w pracach nad podniesieniem zdrowia moralnego społeczeństwa—*T. Męczkowska*. Zrzeszenia kobiet w Krakowie (dok.)—*Marja Hornowska*. Dom (dok.)—*K. S.* W sprawie wyższych studjów rolniczych — *Marja Chamecówna*. Stary Sącz (c. d.)—*N. Samotybowa*. Fotografje z podróży—*K. F. B.* Wiersze—*Zofja Szmydtowa*. Sentymentalna nowelka (c. d.)—*Grazia Deledda* (przekł. *J. D.*). Drogami duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceysingerówna*. Staruszka z kinematografu—*Vicente Blasco Ibanez* (przekł. z hiszp. r. c.). *Emil Verhaeren* (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. *Marja Wołkońska* i *Teresa Confalonieri* (c. d.) — *K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogji (c. d.) — *Emilja Tecka*. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca (dok.)—*Kazimierz Rogala-Kosiński*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Listy z Pomorza—*I. W. K.* Z książek—*St. Podborska* -*Okolów*. Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

## Udział kobiet w pracach nad podniesieniem zdrowia moralnego społeczeństwa.

Już pierwsze nieśmiałe pionierki ruchu kobiecego wiedziały o tem dobrze, a dzisiejsze równouprawnione kobiety zdają sobie z tego jeszcze lepiej sprawę, że u podstaw wszelkich reform społecznych i politycznych, o ile one mają być istotne i pożyteczne, musi leżeć prawda i sprawiedliwość. Tylko na takich fundamentach wznoszone budowle dają gwarancję trwałości, tylko one mogą ostać się wobec burz i nieuniknionych zawieruch dziejowych. Stojąc na straży tej prawdy i sprawiedliwości, kobiety zawsze i wszędzie w działalności swej zbiorowej, w stowarzyszeniach związkach, w pismach przez siebie redagowanych, i książkach wydawanych, starały się w miarę możliwości i sił nie tylko same tym hasłom służyć, ale szerzyć je i propagować wśród najszerszego ogółu. Toteż przegląd

prac, podejmowanych przez kobiety, wykazuje niezbicie, że jedna nieprzerwana nić snuje się tu konsekwentnie, a na nici tej nanizane są sprawy, od których właściwego postawienia lub rozwiązania zależy w większej czy mniejszej mierze podniesienie zdrowia moralnego całego społeczeństwa.

Zarówno w tych czasach, kiedy kobiety były pozbawione wszelkich praw we wszystkich dziedzinach życia, jak i dziś, gdy są politycznie równouprawnione, pozostając w dalszym ciągu upośledzonymi zwyczajowo i społecznie, kobiety skierowywały uwagę na najpoważniejsze i najsmutniejsze bolączki życiowe, dążąc do ich usunięcia lub przynajmniej łagodzenia złych skutków, przez nie wywołanych.

Dzięki inicjatywie zrzeszeń kobiecych lub często pojedynczych, dziel-

nych jednostek społeczeństwo musiało zwrócić uwagę na takie sprawy, jak prostytutcja, handel żywym towarem, alkoholizm, podwójna moralność, musiało też zrozumieć, że sprawy powyżej wymienione należą do kategorii tych, którym należy wypowiedzieć zaciętą walkę, jeżeli się dba o normalny rozwój społeczeństwa i istotną kulturę narodu.

Akcja, inicjowana przez kobiety, jest dziś w pełnym biegu i toczy się po linii, wyraźnie zakreślonej. I dziś wszyscy uznają ją za konieczną i każda dobrze myśląca jednostka solidaryzuje się z nią w całej pełni. Tak jest dziś, ale tak nie było wówczas, gdy w akcji tej pod wpływem kobiet czyniono pierwsze kroki. Kiedy w 1900 roku w Muzeum Rolnictwa i Przemysłu, w Kole Pracy Kobiet, kierowanem

podówczas przez wielce zasłużoną bojowniczkę sprawy kobiecej, Paulinę Kuczalską-Reinschmidt, miał być ogłoszony pierwszy publiczny odczyt o prostytucji, naradzano się długo, czy można przedsięwziąć krok tak ryzykowny, zasięgano w tej mierze opinii wybitnych jednostek ze świata naukowego i dopiero po licznych naradach, skreśleniach i poprawkach, mających na celu złagodzenie treści, po zastąpieniu w odczycie wyrazu „prostytucja“ różnego rodzaju omówieniami, zdecydowano, że dla dobra sprawy można i należy odczyt wygłosić. Te same trudności powtórzyły się, kiedy następnie chodziło o wydrukowanie odczytu: wszystkie pisma kolejno odmawiały umieszczenia na swych łamach artykułu o treści tak drażliwej i dopiero tygodnik „Głos“ po dokonaniu jeszcze szeregu poprawek kompromisowych, zakwalifikował odczyt do druku.

Zapoczątkowanie pracy w tej dziedzinie było połączone z różnorodnymi komplikacjami, ale trudy opłacały się sownie i posiew rzucony wydał plon. Wkrótce zawiązało się w Warszawie, ukryte przed władzami „Koło obolicjonistów“, w którego programie leżała walka z reglamentacją prostytucji i które niejednokrotnie wypowiadało się na łamach tygodnika „Ogniwo“. Ramy tego artykułu nie pozwalają na skreślenie chociażby krótkiej historii walki z prostytucją i handlem żywym towarem. Mogę przypomnieć tu zaledwie najważniejsze momenty, momenty najintensywniejszej i najtrudniejszej pracy.

Przypadły one na czasy wojny, kiedy prostytucja przybrała rozmiary zatrważające, kiedy na drogę nierządu zaczęły wchodzić kobiety, które przedtem zajmowały się uczciwą pracą zarobkową. Dla ratowania ofiar wojny wyteżyło wszystkie swe siły Towarzystwo Ochrony Kobiet. Powołało ono do życia sekcję przystaniową, która założyła i prowadziła pod opieką p. Kołaczkowskiej „Przystań“ na 50 osób i 9 przystani okręgowych, subsydjowanych częściowo przez ówczesny Komitet Obywatelski. Jednocześnie w powołanej do życia w 1915 roku Straży Obyczajowej, członkowie Towarzystwa Ochrony Kobiet, a przede wszystkim siostry inspektorki roztoczyły opiekę nad młodemi, przygodnymi prostytutkami i ratowały dziewczęta, które na drodze nie-

rządu czyniły pierwsze kroki. Dzięki tej ofiarnej i energicznej działalności wyrwano ze szpon nierządu setki kobiet. Walka z prostytucją na wszelkich polach i wszelkimi środkami toczyła się następnie na terenie takich stowarzyszeń, jak Towarzystwo dla walki z nierządem i chorobami wenerycznymi, które przekształciło się na istniejące i działające obecnie Towarzystwo Eugeniczne.

Agitacyjna praca tych stowarzyszeń zbijała systematycznie do niedawna bardzo rozpowszechnione przekonanie, że bez usług prostytucji społeczeństwo obejść się nie może i wykazywała nieprawdziwość twierdzenia „usuńcie ze społeczeństwa ludzkiego nierządnice, a rozpusta podważy jego istnienie“.

Spółeczeństwo dało się przekonać, uwierzyło, że prostytucja nie jest złem koniecznym, że czerpie ona swe soki z nędzy i nieświadomości, że polepszenie warunków gospodarczych i podniesienie oświaty wpływa znakomicie na zmniejszenie liczby ofiar nierządu.

Ponieważ opieka, jaką państwo otaczało prostytucję, prowadziła do zakładania koncesjonowanych domów rozpusty, przeto wszystkie bez wyjątku zrzeszenia kobiece domagały się jednogłośnie zniesienia domów publicznych, co wreszcie w 1910 r. uwieńczone zostało dla Warszawy pomyslnym skutkiem. Zniesienie domów publicznych — to poważny atut w walce z handlem żywym towarem. Domy publiczne były i są odbiorcami towaru, który trzeba było za wszelką cenę dostarczyć, i który był dostarczany przez zastępy dobrze zorganizowanych handlarzy międzynarodowych. Zamykanie dotąd legalnie funkcjonujących domów publicznych, musi z natury rzeczy wpływać na zmniejszenie popytu, a zatem i podaży na terenie, gdzie słusznie ta reforma nastąpiła.

Ale zniszczenie handlu wogóle, który był i jest aferą międzynarodową, może spowodować jedynie skoordynowana systematyczna i bardzo wyteżona walka wszystkich państw europejskich. — Dziś na szczęście mamy instytucję do tego powołaną: — Komitet do walki z międzynarodowym handlem kobietami i dziećmi w Polsce. Komitet ten ma siedzibę w Warszawie, działalność jego rozciąga się

na całą Polskę. Komitet pozostaje w ścisłym związku z międzynarodowym biurem dla walki z handlem kobietami i dziećmi (Bureau International pour la supresion de la troite des femmes et des enfants) mającem siedzibę w Lozannie, oraz z innymi organizacjami poza granicami kraju, mającemi te same cele.

Do zadań komitetu należy:

1) Walka z handlem kobietami i dziećmi przez usuwanie czynników społecznych, wywołujących handel;

2) Ochrona kobiet nieletnich przed niebezpieczeństwem, grożącym ze strony handlarzy, walka z nierządem, jego przyczynami, następstwami;

3) Ściganie handlarzy żywym towarem.

Do zadań Komitetu należy również współdziałanie z organami państwowymi i samorządowymi w celu ujednostajnienia akcji w dziedzinie walki z handlem kobietami, oraz organizowanie instytucji wychowawczych i opiekuńczych dla osób wyrwanych nierządowi.

Istnienie Komitetów dla walki z międzynarodowym handlem kobietami i dziećmi jest żywym pomnikiem wystawionym inicjatorce tej zbawiennej akcji, Józefinie Butler, która tę walkę zapoczątkowała i do walki tej narody wciągnęła przez swą niezmordowaną agitację i ofiarną pracę.

Obok walki z prostytucją i handlem żywym towarem zorganizowany ruch kobiecy nie ustawał w proteście przeciwko szerzącemu się we wszystkich krajach alkoholizmowi. O szkodziwości alkoholizmu i konieczności przeciwstawienia się temu nałogowi mówić nie trzeba; wszyscy zdajemy sobie dokładnie sprawę z fatalnych skutków, jakie alkoholizm za sobą pociąga i wszyscy wiemy dobrze, jaką krzywdę wyrządziły Polsce prawodawstwa, które nie tylko nie krępowały spożycia alkoholu, ale przeciwnie sprzyjały rozwojowi pijaństwa. Wystarczy przytoczyć, że stosunek szkół ludowych i kościołów (wszystkich 3-ch obrządków katolickich) był w Galicji w r. 1911 — 1913 następujący: na sto tysięcy ludności było 36 kościołów 77 szkół ludowych i aż 290 szynków!\*)

\*) Jan Szymański. Ustawa o ograniczeniach w sprzedaży napojów alkoholowych i jej znaczenie społeczne.

Przeciwko takiemu stanowi rzeczy protestowało społeczeństwo, zakładając Towarzystwo antialkoholiczne, Towarzystwo wstrzemięźliwości i t. p., w których kobiety były gorącymi propagatorkami abstynentyzmu. Wszystkie zjazdy i zgromadzenia kobiece wypowiedziały się jednogłośnie za daleko idącymi nakazami w sprawie sprzedaży i spożycia alkoholu, solidaryzując się w zupełności z akcją, jaką od wielu lat prowadził w tej dziedzinie Jan Szymański i Koła Pol. Towarzystwa walki z alkoholizmem „Trzeźwość”. Dzięki tej wieloletniej pracy, społeczeństwo rozumiało dokładnie groźbę sytuacji i z radością powitało, uchwaloną przez sejm w kwietniu 1920 r., ustawę o ograniczeniach w sprzedaży napojów alkoholowych. Referentką sprawy była pos. M. Moczyłowska.

Mocą tej ustawy napoje alkoholowe, przeznaczone do sprzedaży, nie mogą zawierać ponad 45 proc. alkoholu, ilość miejsc sprzedaży lub wyszynku napojów alkoholowych ogranicza się do jednego na 2500 mieszkańców, zabrania się sprzedaży napojów alkoholowych osobom niepełnoletnim do 21 r. życia, zakazuje sprzedaży na czas wyborów, mobilizacji i t. p.

Biorąc żywy udział w pracach wyżej wymienionych, inicjując je, lub wykonywując, kobiety rozumieją, że spełniają zaledwie drobną część wielkiego zadania. Część, której dopełnieniem musi być praca nad moralnym wychowaniem człowieka, budzeniem jego sumienia, wzmocnieniem poczucia odpowiedzialności.

Dziś, kiedy walka z najgroźniejszymi bolączkami społecznymi jest w ramach, przystosowanych do warunków, zorganizowana, należy pójść dalej i głośno domagać się zorganizowania pracy nad moralnym wychowaniem człowieka.

Nigdy może niedomagania moralne społeczeństwa nie budziły takiego zainteresowania jak obecnie, — Ciągłe słyszymy naokoło siebie, że jest źle i coraz gorzej. To, co się

dzieje w chwili obecnej, nie tylko nas nie zadawalnia, ale często razi, oburza, narzekamy nieustannie na fatalne spustoszenia moralne, dokonane przez wojnę: charaktery ludzkie pod brzemieniem niezwykle trudnych warunków egzystencji załamały się, wola okazała się bezsilna, człowiek pozwala — unosić się fali bardzo burzliwego życia, sam życiem swym nie kieruje, życie go „niesie”, jak samo chce i dokąd chce.

Dawne mocne i dla wszystkich jednako ważne ideały przestały istnieć, inne nie zajęły ich miejsca. Szaryzna, pospolitość, banalność, pogoń za groszem z konieczności, czy amatorstwa — oto tło, na którym rozgrywa się historia dnia dzisiejszego. W historii jednak tego dnia jest pozycja, o której nigdy zapomnieć nie wolno — pozycja obowiązku, jaki ma dzień dzisiejszy wobec dnia jutrzejszego, wobec przyszłości.

Obowiązek ten nakazuje myśleć w imię przyszłości o naprawie wychowania, aby życie, które stworzą przyszłe pokolenia, nie było podobne do życia dnia dzisiejszego.

T. Męczkowska.



### 3) ZRZESZENIA KOBIEŃ W KRAKOWIE

(D o k o Ń c z e n i e)

Od lutego 1922 r. Związek objął kierownictwo dawniej zorganizowanej grupy urzędniczek i pracownic przy ulicy Krupniczej.

Od września 1923 otwarto sale klubów dla dziewcząt szkolnych 10 do 15 letnich, które przychodzą tu popołudniu, przerabiają lekcje, poczem mają krótką zabawę.

W r. 1922 — 1923, w lecie urządzono kolonję wakacyjną w wynajętym na ten cel dworze w Skawcach, koło Suchej, gdzie przez 2½ miesiąca przebywało stale 40 dziewcząt oprócz członkiń klubów, seminarzystek i gimnazystek, które zmieniały się co dwa tygodnie. Ogółem korzystało z letnisk w r. 1922 — 172 osoby, w tem 126 klubowych; w r. 1923 — 109 osób. Prócz urzędniczek, które stanowiły większość, były na kolonji szwaczki, sklepowe, robotnice, nauczycielki i t. d.

Ilość członkiń klubów wynosiła w r. 1922 — 439 osób, w klubach robotnic — 228 osób.

W r. 1923 powstało kilka nowych klubów: klub mieszany „Zorza”, klub

7 i 8 klasistek szkół wydziałowych, nazwany „Przyszłość”, klub „Zgoda” złożony z uczennic 6-ej klasy wydziałowej. Członkiń w klubach urzędniczek jest 300, u rękodzielniczek 120; „Zorza” ma przeszło 60 dziewcząt.

Obecnie Związek utrzymuje internat dla panienek, które płacą tylko za opał. Miejsc jest 18, z których zajęte 4.

W życiu klubów, zwłaszcza rękodzielniczych przeważa strona rozrywkowa: zabawy, przedstawienia amatorskie, tańce, w lecie gry na świeżym powietrzu i wycieczki za miasto. Kluby urzędniczek dbają o dokształcanie się, przeto odbywają się u nich kursy języków i pogadanki z historii, literatury, sztuki i religii obok kursów kroju i modniarstwa oraz kursów stenografji.

Dowodem żywotności Związku i jego dobrej gospodarki może być fakt, że Związek zakupił plac pod własny budynek, który wkrótce zastąpi mu odnajmowany lokal.

Dotychczasową przewodniczącą Związku była hr. Potocka, obecnie

jest nią p. Kostanecka. Ogólną sekretarką jest ks. Sapieżanka.

Liga Kobiet w Krakowie, której działalność w czasie wojennym jest powszechnie znana, od lat trzech zwróciła ją w stronę udzielania pomocy sierotom po poległych żołnierzach.

Wydział opiekuńczy przy Lidze zasila kasowo ochronki i ogniska.

Ognisko w Rabce, które było na czas jakiś przeniesione do Łososiny, gdzie rząd ofiarował był dwór i 30 morgów ziemi, wróciło z powrotem do Rabki, gdzie utrzymuje stale 30 dzieci.

Niewielka subwencja rządowa (2 miliony mkp. kwartalnie), obok przygodnych darów i stałych dochodów ze sklepu L. K. (pamiątki wojenne i galanterja) stanowią fundusze, które Liga rozporządza. Poza tem Zarząd Główny posiada ziemię w Rabce

pod budowę sanatorium dla dzieci oraz kawał gruntu na przedmieściu Krakowa, w Ludwinowie, gdzie obecnie buduje się dom dla istniejącej już od 1916 r. i prowadzonej od tego czasu przez Ligę ochronki ogólnej dla dzieci robotników w ilości stu kilkadziesiąt.

Przewodniczącą Ligi Kobiet jest p. Błotnicka.

Związek pracy polskich kobiet, założony w r. 1912 jako stowarzyszenie z ogranicz. poręką, z inicjatywy nauczycielek miejskiej szkoły przemysłowej, pod dyrekcją pp. M. Wimpellerowej, Z. Hankiewiczowej i P. Morawskiej, zamienił się w r. 1921 na spółdzielnię.

Związek posiada 280 udziałowców (udział wynosi 1 milj. mkp.), zatrudnia około 50 robotnic we wszystkich działach i dostarcza również pracy osobom z inteligencji, rozdając zaczęte roboty ręczne do wykonania w domu.

Działy szycia białej, haftu białego i kolorowego, haft na szatach liturgicznych, na chorągwiach i sztandarach oraz dział czapkarni — prowadzone są przez osoby fachowe.

W chwili założenia Związek posiadał 8 maszyn do szycia, dziś ma ich 75, z tych kilka specjalnych i 5 motorów elektrycznych. Staraniem Związku powstały filje hafciarskie w Makowie i w Liszkach.

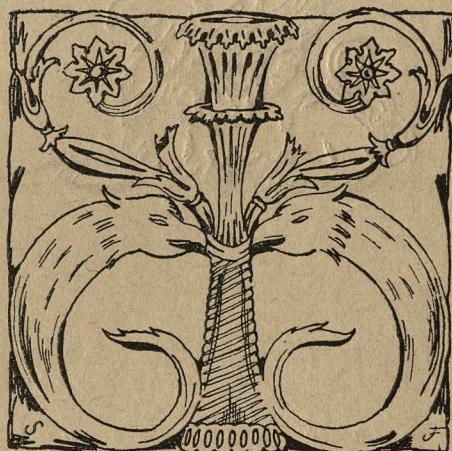
Wykonane roboty mają zapewniony zbyt w sklepach, na targach we Lwowie i w Poznaniu oraz w pracowni na miejscu (plac Szczepański 3 i Bracka 8), gdzie przyjmują się zamówienia większe i mniejsze.

Przetrawszy ciężki okres wojenny w pełnej pracy, Związek przechodzi obecnie jako instytucja przemysłowa — kryzys finansowy, i walczy z brakiem kapitału obrotowego, który to brak utrudnia mu szybszy rozwój.

Naczelną dyrektorką Związku jest od lat siedmiu p. A. Froncz-Hubiszowa, drugą p. M. Chechłowska.

Pokrewną tej ostatniej jest Liga pomocy przemysłowej kobiet, prowadzona przez p. Żuk-Skaszewską.

Innego rodzaju zrzeszenie, jak Związek polek ewangeliczek pod przewodnictwem p. Gebhardtowej, Związek urzędniczek biurowych (p. M. Górska) i t. p. mają zadania, określone interesem grupy, w której działają.



Oddział Krakowski Organizacji narodowej kobiet jest czynny w tymże zakresie, co organizacja warszawska, działalność jej nie wychodzi poza uświadamianie narodowo-polityczne kobiet przez pogadanki i odczyty.

Prócz Związków i Stowarzyszeń czynnymi są w Krakowie Koła, jak Koło Kobiet Tow. Szkoły Ludowej, Koło słuchaczek Uniwersytetu, Koła Matek chrześcijańskich, oraz Sodalicje kobiece.

Tak przedstawia się w suchych faktach działalność publiczna kobiet w Krakowie. Jak wszędzie, tak i tutaj karmi się ona energią i wysiłkiem jednostek, i jak wszędzie, tak i tutaj jednostki te są nieliczne, a praca reszty członkiń znikoma. Równomierne rozłożenie teje na wszystkie członkinie jest ideałem nieosiągniętym. Wskutek tego tempo pracy jest wolniejsze, a rezultaty skąpsze, niżby być mogły w innym razie. Brak funduszy, koniecznych do rozwoju instytucji, zdaje się także stać na przeszkodzie normalnego ich bytowania t. j. stopniowego, a coraz większego rozrostu. Energji zaś, któraby potrafiła borykać się skutecznie z tym dojmującym, a powszechnym u nas brakiem, nie mamy pod dostatkiem. Gdyby wystarczyło jej na zrzeszenie wszystkich, a przynajmniej pokrewnych zrzeszeń, na stworzenie wspólnego organu, w którym cele i zadania poszczególnych mogłyby być omawiane, a szerszy ogół informowany byłby o wysiłkach, godnych poparcia, wówczas może praca zrzeszonych kobiet stałaby na silniejszych podstawach i owoce jej stałyby się widoczniejsze.

Marja Hornowska

3)

## DOM

(Dokończenie)

### III.

O sprawę stosunku domu do szkoły potraçałam już niejednokrotnie. Jest to tylko dowód, jak wiele zagadnień natury pedagogicznej dookoła niej się kręci i że, jak „wszystkie drogi do Rzymu“, tak wszystkie rozważania wychowawcze w końcu prowadzić muszą ze szkoły do „domu“. I nic dziwnego!

Szkoła i dom dążą do wspólnego celu. Szkoła i dom mają za zadanie kształcić i wychowywać młode pokolenie. Niema chyba człowieka, któryby tego związku nie widział, któryby nie uznawał potrzeby porozumienia i współpracy. Niestety, tylko w teorii — w praktyce bowiem stoimy ciągle wobec tej niesłychanej ano-

malji, że szkołę i dom dzieli przepaść nieprzebyta. Nie chcę przez to powiedzieć, aby stosunek ten był zawsze ujemny — niestety, bywa on przeważnie jeszcze gorszy, bo obojętny — właściwie żaden. Czy istnieje jakakolwiek inna dziedzina pracy ludzkiej, gdzieby współpracownicy nie utrzymywali żadnego kontaktu, nie porozumiewali się co do wspólnego celu, co do metody i środków działania? Dlatego też trudno się dziwić, że w tych warunkach rezultaty wychowania są takie, jakie są, i że wskutek tego wielu nawet pedagogów dochodzi mylnie do pesymistycznego poglądu na skuteczność zabiegów wychowawczych. Trudno się dziwić, że, gdy często „szkoła ciągnie do sasa“, a dom „do lasa“, gdy nie tylko

w zasadach i metodach, ale wręcz w rozporządzeniach obu tych instytucji zachodzi nieraz duża rozbieżność, w dziedziach dojść muszą do głosu gorsze skłonności, a już w żadnym razie nie może być mowy o jednolitym, harmonijnym rozwoju.

A tak łatwo możnaby, do pewnego przynajmniej stopnia, złemu zaradzić! Bez ofiar i bez specjalnych wysiłków — wystarczyłoby poświęcić trochę tylko czasu i trochę dobrej woli. Że potrzeba współpracy ze szkołą znalazłaby silny oddźwięk i zrozumienie nietylko w kołach rodzicielskich sfer wykształconych, że każdy nawet dom przeciętny łatwo i chętnie dałby się do tej pracy wciągnąć, świadczy cały szereg prób, podjętych z najlepszym wynikiem.

Opowiadała mi niedawno nauczycielka jednej ze szkół powszechnych w Krakowie, że z inicjatywy nauczycielek tej szkoły, powstał tam komitet matek, którego celem była początkowo pomoc materialna dla biednych uczniów. Z czasem do tej działalności humanitarnej przyłączyła się także współpraca wychowawcza. Dwie matki, jako delegatki, wchodziły stale w skład rady pedagogicznej i biorą udział w regularnych zebraniach grona nauczycielskiego, zabierając głos doradczy w sprawach wychowania. Delegatki te co jakiś czas zwołują t. zw. wiece matek, na których zdają sprawę ze swej działalności, przedstawiają potrzeby bieżące i nawzajem wysłuchują dezyderatów zebranych matek. Znajoma moja nie miała dość słów na wyrażenie uznania i podkreślenia wielkiej wartości tej współpracy. Czuć było w jej słowach, że obie strony łączy nie tylko wzajemne zrozumienie i wzajemna pomoc, ale uczucie prawdziwej życzliwości.

A jeśli teraz dodam, że matki, o których tu była mowa, należą i pod względem wykształcenia i pod względem społecznym do t. zw. sfery niższej, czy wyda się zbyt optymistycznym twierdzenie, że to, co stworzyła samorzutna inicjatywa sporadycznie, dałoby się łatwo i z wielkim pożytkiem zaprowadzić w całym kraju?

Wspomniany już kilkakrotnie pedagog amerykański Dewey, którego prace teoretyczne i eksperymentalne uważane są obecnie za najbardziej miarodajne, twierdzi, że szkoła dopóty nie będzie mogła wywiązać się należycie ze swoich zadań, dopóki nie stanie się naturalną jednostką społeczną, czemś, coby nazwać można szkołą-domem. Osiągnięcie tego ideału, zwłaszcza jeśli chodzi o nasze stosunki, wymaga jeszcze wiele czasu, wiele pracy i wielkich środków materialnych. Wymaga przede wszystkim przygotowania znacznego zastępu nauczycieli nowego typu, którzy umieliby nie tylko mniej lub więcej dobrze uczyć łaciny, lub matematyki, ale naprawdę w y c h o w a ć

i kierować młodzieżą, dając jej żywe przykłady życia pięknego i pożytecznego, w codziennym obcowaniu.

Nie mogąc więc w najbliższym czasie marzyć o jednolitej instytucji szkoły-domu w znaczeniu Dewey'a, musimy przynajmniej w istniejących warunkach starać się, aby między domem rodzinnym a szkołą wytworzył się należyty kontakt.

Jeśli chodzi o inicjatywę w tym kierunku, to podjąć ją winien każdy obywatel dobrej woli, świadomy doniosłości tego zadania. Odnosi się to przede wszystkim do rodziców i nauczycieli — zwłaszcza nauczycieli, którym przecież i z powołania i z doświadczenia najbardziej powinna ta sprawa leżeć na sercu. Być może niektórzy nauczyciele w pierwszej chwili niechętnie odniosą się do tej myśli. Spotykałam kolegów i koleżanki, którzy obowiązek zetknięcia się z rodzicami uważali za bardzo przykry. Znam nawet wypadek taki, że nauczyciel, obejmując lekcje w szkole prywatnej, zastrzegł się, że nie chce z rodzicami się „użerać”.

Ale we wszystkich tych wypadkach chodziło o t. zw. „wywiadówki”, które rzeczywiście bardzo często jako jedyny rezultat dają tylko obustronną irytację. Wśród nielicznych bowiem rodziców, którzy bywają na konferencjach wywiadowczych, jedni przychodzą po to tylko, aby usłyszeć pochwały, inni znowu, aby kłócić się o stopnie, lub bronić niasłusznych pretensyj swoich dzieci. Nie chcę przez to powiedzieć, aby słusność była zawsze po stronie nauczycieli. Bywa także i odwrotnie. W każdym razie nie może i nie powinno to być mia-

rodajne dla możliwości stałej, systematycznej, a przez to i owocnej współpracy szkoły i domu.

Gdy obie te instytucje wychowawcze do siebie się zbliżają i poznają, gdy na miejsce stosunku „obcego”, a często nawet wrogiego, zapanuje stosunek wzajemnego szacunku i zrozumienia — nie będzie żadnych przeszkód w zgodnym dążeniu do wspólnego celu.

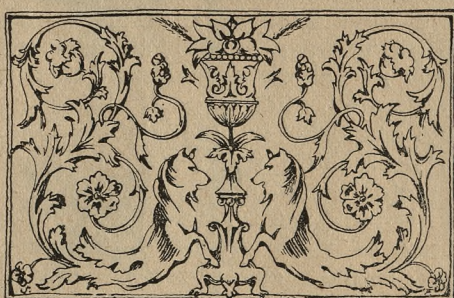
Tu i owdzie rodzice na własną rękę zabierają się już do regulowania pewnych spraw szkolnych. Wiece rodzicielskie, poświęcone sprawom higieny lokali szkolnych, przepełnienia w klasach, redukcji nauczycieli i uczniów i t. p. — są już na porządku dziennym. Mówiono mi nawet o zamierzonym wiecu w sprawie usunięcia nieodpowiedniego nauczyciela.

Wszystko to wskazuje, że grunt jest dostatecznie przygotowany, że, byleby się zjawiła inicjatywa, niechybnie stało na przeszkodzie do zorganizowania w całym państwie przy każdej szkole stałych komitetów rodzicielskich.

Z początkiem roku szkolnego należałoby zwołać wiece rodziców i nauczycieli danej szkoły. Na wiecach tych kompetentni referenci omówiliby: 1) wspólne cele i wzajemny stosunek szkoły i domu, 2) zakres i organizację współpracy i t. p. Następnie odbyłyby się wybory stałych delegatów (ojców, lub matek), którzy weszliby w skład rady pedagogicznej danej szkoły, a z drugiej strony utrzymywali stały kontakt z ogółem rodziców przez zwoływanie wieców periodycznych i dorywczych. Szczegóły co do sposobu zrealizowania tych zamierzeń, byłyby przedstawione w referacie o „organizacji współpracy”, a każda szkoła miałaby stały regulamin, określający ten wzajemny stosunek.

Czas naprawdę pomyśleć o tem. Czas, aby dom i szkoła podały sobie ręce do wspólnej pracy nad odrodzeniem wychowania! Najzupełniejsza zgodność interesów i idealna bezinteresowność ich wspólnych dążeń dają rękojmię najlepszych rezultatów.

K. S.



## W sprawie wyższych studjów rolniczych dla kobiet

W N-rze 28 „Bluszczu” drukowaliśmy art. p. Z. Zawiszanki p. t. „Czy rolnictwo jest zawodem szczególnie stosownym dla kobiet”. Artykuł ten wywołał duże zainteresowanie i ożywiłą dyskusję wśród naszych czytelniczek-agronomek. Do redakcji „Bluszcza” napłynął cały szereg odpowiedzi popierających, lub zwalczających stanowisko p. Z. Zawiszanki. Ciekawsze z nich będziemy kolejno umieszczać na łamach „Bluszcza”.

(Przyp. Red.).

Jakkolwiek spotka mię może zarzut braku kobiecości, ze strony p. Zawiszanki, jednak uważając, że byłoby szkodli-

wem, gdyby głos jej w sprawie studjów agronomicznych pozostał bez odpowiedzi—odważnie chwytam za pióro i korzystam z gościnnych łamów „Bluszcza”, aby kwestję tę ważną dla niewiast i dla całego społeczeństwa oświetlić z innego punktu widzenia.

Jestem jedną z najdawniejszych uczennic Studium rolniczego w Krakowie (6-tą z kolei) i mija dwadzieścia lat, jak rozpoczęłam pracę na roli, a nigdy nie żałowałam, że obrałam

tę drogę i z najgłębszą wdzięcznością wspominam ówczesnego dyrektora Studium, prof. Dr. S. Godlewskiego, który mię przyjął, pomimo niedostatecznego przygotowania, nie miałam bowiem rządowej matury, jedynie skończony kurs historyczno-literacki na Baraneum.

Pozatem nie mam ani włosów obciętych na jeża, ani męskiej kurtki, ani papierosa w zębach, pomimo to jednak uważam rolnictwo za pracę

bardzo odpowiednią dla kobiet i wcale nie sprzeczną z ich uzdolnieniem fizycznym i duchowym. Zarzuty jakie stawia rolnictwu kol. Zawiszanka, dadzą się postawić każdemu prawie zawodowi, a przykrości i przeciwności takie lub inne związane są z każdą poważną pracą. Wymaga rolnictwo zdrowia fizycznego i opanowania zbyt przeczulonych nerwów, ale jakież zawód tego nie wymaga? A najwięcej chyba ten predestynowany kobietom przez naturę i tak mocno zalecany przez wszystkich, a najczęściej gorąco upragniony przez nie same: małżeństwo.

Kol. Zawiszanka twierdzi, że kobieta „prawdziwa” oraz „szlachetna” nie potrafi prowadzić związanych z rolnictwem spraw handlowych, gdyż nie umie się targować, jak to umieją szlachetni nawet mężczyźni. Otóż tutaj odpowiem, że nigdy żaden większy właściciel ziemski nie targował się tyle o kilka groszy na korcu zboża, co w rezultacie wynosi dla niego krocie, ile potrafi najbardziej „kobieca” kobieta nauzerkać się poprostu o cenę jakiejś wstawki do bielizny, lub wstążeczki do nawlekania. Nie targują się tylko w wielkich magazynach, gdzie ceny są bezwzględnie stałe. Jeżeli idzie o zdolności kobiet do handlu na szerszą skalę, to i tych nie są pozbawione. Przykład owej pani, która nie potrafiła się zorientować w konjunkturze walutowej, nie dowodzi niczego, mogłabym bowiem zacytować dziesiątki mężczyzn, którzy popełnili podobne omyłki, równie jak dziesiątki kobiet, które w tym samym czasie dorobiły się fortuny na handlu. Kobiety Zachodu: Francuski, Angielki, Niemki, Amerykanki, biorą żywy udział w handlowym życiu kraju, a nawet, wychowane na niemieckich wzorach Poznanianki, nie stronią bynajmniej od tej dziedziny pracy, jakkolwiek nie są wcale emancypantkami. Nasz w tym kierunku marazm, niedołęstwo i nieumiejętność nie powinny być wynoszone na piedestał „szlachetności”, lecz poprostu traktowane jako brak, jako wada naszego wychowania i powinny być zwalczane i leczone.

Co się tyczy stosunków z podwładnymi, to w rolnictwie nie są one trudniejsze niż w innych zawodach, o ile obejmujemy w nich stanowisko kierownicze. Wszędzie będziemy musieli kierować podległymi nam ludźmi i wszędzie spotkamy się z lenistwem lub nadużyciem z ich strony, za które będziemy odpowiedzialni materialnie i moralnie. Twierdząc, że kobieta nie da sobie z tem rady, stwierdzamy tem samem jej niezdolność do jakiegokolwiek stanowiska kierowniczego, musiałaby ona zatem pozostawać zawsze na najniższym szczeblu hierarchji pracy. Umiejętne kierowanie ludźmi nie sprzeciwia się ani „kobiecości” ani „dobroci”, nie polega bowiem, jak sądzi kol. Z. na pilowaniu i użeraniu się od rana do nocy, lecz na szczerzej, z serca płynącej, a nie sztucznie robionej życzliwości, jaką się włoży

w te stosunki, oraz na takcie i sprawiedliwości w postępowaniu. Tymi zaś czynnikami kierują cechy przypisywane z reguły kobiecości, to jest dobroć i intuicja.

Przyznaję, że lud nasz ma „dość mętne pojęcie o własności”, ale na zasadzie 20 letniego współżycia z tym ludem, twierdzę, że nie jest on mniej ani bardziej uczciwy od innych klas narodu. Jeżeli się idzie do niego z tem przekonaniem, że wszyscy kradną— to trudno rzeczywiście o dobre stosunki. Jeżeli natomiast zamiast się „wstydzic” szlachetnie za kradnącego fornala, wejdzie się w pobudki, które go skłaniają do przestępstwa, usunie się nędzę, która niejednokrotnie do złodziejstwa popycha, a następnie wytłómaczy życzliwie, jak postępować powinien człowiek uczciwy, to nadspodziewanie szybko i łatwo rozbudza się w nim poczucie godności osobistej, sprawiające, że teraz on sam wstydzi się kraść. Przez lat 20 nie uciekałam się nigdy do interwencji policji lub sądów w stosunku do podwładnych mi ludzi i nie ściągnęłam od nich nigdy najmniejszej kary pieniężnej—pomimo to jestem zawsze otoczona ludźmi uczciwymi i prawymi; którzy nawet z panowania bolszewików nie skorzystali, aby rozdrapać, moje mienie lecz przeciwnie, obronili, co mogli obronić!

Mylną wskazówkę daje kol. Zawiszanka kandydatkom na rolniczki, twierdząc, że na małej fermie podmiejskiej mniej będą miały walk ze złodziejstwem, szkodnictwem i złą wolą ludzką niż na dużym folwarku. Jest wprost przeciwnie i w dodatku styczność z temi przykrościami zawodowemi jest na fermie bardziej bezpośrednia i brutalna. Nie wyobrażam sobie, by właściciel kilkuset mórg roli potrzebował osobiście zajmować krowy na szkodzie, targować się o nie z chłopami, lub musiał koniecznie robić zasadzki na złodzieja snopów. Nie potrzebuje też osobiście deptać po piętach robotnikom i poganiać ich, gdy się lenią, ma bowiem pomocników, którzy to robią za niego. Naodwrot mała ferma, zwłaszcza podmiejska narażona jest na doszczętne rozdrapanie przez zdemoralizowane żywoły miejskie, poprostu dzień i noc trzeba się oganiać od napastników, a musi to czynić sam właściciel, gdyż rządcę lub nawet ekonoma, trudno na małej fermie utrzymać, a nieliczny personel robotniczy, przejęty zazwyczaj nurtującymi w mieście hasłami komunizmu nie bardzo pochopnie staje w obronie mienia chlebobdawcy—zresztą nie może być wciąż od pracy odrywany.

Jak beznadziejnie wygląda walka ze złodziejstwem na fermie podmiejskiej, miałam sposobność doświadczyć

pod Poznaniem — pod Warszawą jest podobno gorzej, gdyż tam rozprawy odbywają się na broń palną. Uważam iż fermerstwo nadaje się ogromnie jako zawód dla kobiet inteligentnych samotnych, (z rodziną trudno się utrzymać) ale nie pod miastem, lecz na szczerzej prowincji, gdzie dobrze zagospodarowana ferma, oraz osobisty wpływ właścicielki, mogłyby nader dodatnio oddziaływać na ludność okoliczną. Szczególnie namawiałabym do tego kobiety kresowe, których gniazda tak umiłowane pozostały za kordonem bolszewickim. Mogłyby one spożytkować swe siły i zdolności lepiej niż w biurach warszawskich i zaspokoić wieczną swą tęsknotę do kresów, kupując tam ziemię tak jeszcze tanio i zakładając warsztat pracy rolnej, któryby się stał nieocenioną placówką polskiej kultury.

Poza tem uważam, że byłoby pożądanem, aby możliwie największa liczba kobiet, mających spędzać życie na wsi, mogła odbyć studia rolnicze. Jeżeli kobieta nie wyjdzie zamąż, da jej wiedza rolnicza możność pracy samodzielnej, pięknej, bo w najbliższem zetknięciu z przyrodą i dającej najwyższe zadowolenia — bo twórczej. O ile wyjdzie zamąż za rolnika, to stanie się jego towarzyszką pracy, a warsztat gospodarstwa rolnego jest dziś machiną tak skomplikowaną, że nawet na małym folwarku dwie siły inteligentne nie będą zbyt cenne: kobieta w takim wypadku powinna wybrać sobie jakiś dział gospodarstwa odrębny i, nie mając na głowie całego balastu administracji ogólnej, doprowadzić go do możliwej doskonałości. Poza tem leży olbrzymie, zachwaszczone lub zgoła nie uprawiane pole pracy społecznej na wsi. Mężczyzna obarczony pracą zarobkowania na byt całej rodziny, pochłonięty interesami, nieraz nie ma czasu na pracę z ludem. Kobieta ziemianka, gdy minie okres niemowlęstwa dzieci, gdy te do szkół zostaną odesłane, znajdzie użyteczną i przynoszącą zadowolenie pracę w kółkach rolniczych, kołach gospodyń wiejskich, w spółdzielniach, w odczytach, pogadankach i krótkoterminowych kursach rolniczych. Kobieta nie posiadająca ziemi, tylko wiedzę rolniczą, jeszcze znajdzie nadzwyczaj owocne pole działania, jako nauczycielka szkół rolniczych, instruktorka kółek, lub jako pracowniczka stacyi doświadczalnych.

A zatem, po 20 letnim doświadczeniu i po sumiennym namyśle z całą świadomością nie waham się zaważać: kobiety, nie lekajcie się twardej pracy rolniczej — trudna ona jest, ale nie przechodzi waszych sił—ciężka jest, ale owocna — nie zapewnia wysokich korzyści materialnych i miękiego używania, ale daje to najwyższe zadowolenie ducha, jakie jest darem prac twórczych.

Marja Chamcówna.

Dąbrowa na Polesiu. Sierpień.



## 2) STARY SĄCZ

ZE SZKICOWNIKA.

### ODPUST.

24 lipca jest dniem, poświęconym królowej Kindze. Dn. 24 lipca 1292 r. zmarła; dn. 24 lipca 1691 r. uznano ją, po długich staraniach, za błogosławioną.\*)

Dzień ten Stary Sącz obchodzi uroczyście. Dla małego miasteczka garbarzy i rzeźników i dla wiosek sądeckich jest on punktem szczytowym dorocznych wydarzeń. W wigilję święta przez miasto przebiega dreszcz oczekiwania i nadziei; gospodynie kończą w szybkim tempie świąteczne porządki; mieszkania pachną czystością; oczy starych kobiet, zdążających na nieszpory, płoną blaskiem zimowych lamp.

Dwa punkty miasta stają się ogniskami uroczystości: klasztor i rynek. W klasztorze odżywa przeszłość; coś ze wspaniałości i wpływów minionych wraca,—odpust staje się niewidzialną siecią rybaka dusz, która, zarzucona na ziemie dawnego księstwa Sądeckiego i dalej, sprowadza gromady pielgrzymów, ciągnących od rana z różnych stron ze śpiewem głosów nieskładnych i niewyrobionych. W samotność, odosobnienie i prawie, rzeczy można, zapomnienie tego klasztoru kieruje się wezbrany strumień ludzkiej wiary, nadziei, ufności — sieć rybaka zgarnia gęsty połów trosk, krzywd, łez, cierpienia, win, grzechów, które czekają wszechmocnej rady, przebaczenia, ukojenia. Przybywający tutaj proszą o ulżenie ciężarowi życia, o owo krzepiące „pokój tobie”, o nieuświadomianą sugestię i zaśpiew na dalsze trwanie, o łaskę rozświetlenia mroków, o grzechów odpuszczenie, których szafarzem, jak niegdyś, dla tych ludzi prostej i starej wiary, jest klasztor w dniu święta wiele mogącej i dobrze czyniącej Pani, Kingi.

Podwórzec klasztorny, zwykle szary, pusty i bezbarwny, staje się nowym kościołem, wielką świątynią jedno-nawową, mającą za sklepienie kopułę nieba, za ściany skrzydła klasztoru. Wielki ołtarz z obrazem Błogosławionej, rozstawione konfesjonały, ławki, dywany, kwiaty—zapełniają pustkę podwórza; słońce 5-ej godziny popołudnia prześwietla powietrze, złoci i wydobywa na jaw rzeczywistą fizjonomję przedmiotów i ludzi. Na podmurowaniach, na ławkach, na ocebrowaniu starej studni siedzą baby i z cicha gwarzą. Przed ołtarzem klęczy stara wieśniaczka; w zmarszczkach jej pięknej twarzy, w oczach uczciwych i dobrych skupiła

się najczystsza żarliwość i wiara. Rozmodliła się całą postacią i naprawdę „odeszła” w krainę swojej duszy. Smutny, blade ksiądz i zakonnica służebna sprzedają przy ubogich stolikach odpustowe dewocjonalja.

Na gotyckiej architekturze kościoła klasztornego położył mocne piętno barok; charakter wnętrza i rzeźby głównego ołtarza, prawie już rokokowe, jeszcze silniej styl ten wypuklają. Są tam anioły o ruchach gwałtownych i pięknem, bujnym ciele, które niedostatecznie osłaniają, jakby przez wiatr poderwane, tkaniny. Sławna ambona z roku 1661 wspiera się na Jessem; z jego piersi przykro i potwornie wyrasta i rozwidla się symboliczna winorośl z „owocami”: na gałęziach polichromowane postacie biblijne, na wierzchołku uwieńczone osobą Bogarodzicy.

Naprzeciwno kazalnicy mocna, pięknej roboty, żelazna krata, najeżona według reguły kolcami, i zasłona bronią przed natrętną ciekawością oblubienice Chrystusa. Skupiony ich hufiec odmawia chórem pacierze; do uszu naszych dolatuje rytmiczny, uporczywy głos, podobny do „siejby” karabinu maszynowego.

W stallach, pod chórem siedzą żebracy; mocna czerwień zachodzącego słońca oświetla plastyczną, jakby rzeźbioną brzydotę ich i nędzę.

Za podwórzem, pod murami, w miejscu, gdzie niegdyś tłoczyli się trędowaci, chorzy, chromi, żądni leków i miłosierdzia, przysiedli na murawie sprzedawcy kalendarzy, senników i odpustowej makulatury.

Wysoko, przy ślicznej, malachitowej kopule wieży powiewają żółto-białe, papieskie godła. Za chwilę uderzy w niebo śpiew procesji i popłyną w górę dymy kadzielnic.

Na rynku w mieście inaczej.

Tu, w dzień święta, jakby się zjawił nagle radosny, pstrokaty i wieloramienny, ze słońca lipcowego zrodzony, pajac-dziwotwór, jasełkowa figura niezręczna i niewytworna, gwiżdżąca i piskliwa, niedbale z drzewa wystrugana, na kolorowo pomalowana i, uderzywszy w dłoń, rozsiadł się na zazwyczaj smutnym czworoboku rynku.

Za danem hasłem—kłaśnieciem wstają strangany, pełne nikomu niepotrzebnych cudactw kolorowych: stosów pierników różnokształtnych, różańców z różowych, żółtych i czekoladowych ziaren piernika, na sznurki nanizanych, krzyżem zakończonych; pomiędzy ziarnami drżą papierki seledynowe, amarantowe, szafraonowe.

Nałożywszy na szyję różaniec piernikowy, gwiżdżąc na kogutku blaszonym, napełniając kieszenie kolorowymi cukierkami, których wzgórki piętrzą się na stołach, popijając żółtą i czerwoną lemoniadą, wałęsa się od kramu do kramu zaciekawiona i rozżeśmiana młodzież sądecka.

Słońce pełni lata spada o południowej godzinie prostopadle na wielki rynkowy stół. Jest tu jakieś święto zgoła inne, niż tam,—pogańsko-jasne, lechicko-swawolne, święto sądeckich wiosek i pól, na których właśnie kończą się żniwa.

Na ulicach miasteczka lśni się, iskrzy i kolorowi od spódnic, suto namarszczonych, od wzorzyście haftowanych staników i fartuszków i od różowych twarzy młodych kobiet. Idą, szybko i śmiało stąpając w wysokich trzewikach. Młodzi mężczyźni, „lachowie” z wiosek okolicznych, mają pewien własny „styl”. Ubrani czarno, z szeroko wyłożonymi kołnierzami białych koszul, w miękkich, czarnych kapeluszach, ogorzali i silni, rozprawiają głośno i zajmują dużo miejsca. Mówią o przyszłości; za dziesięć lat. Są pewni owego „jutra”, czekającego za 10 lat; mówią, że będzie „ich” jutrem. Są nowi, młodzi i mocni.

Przy źródle Kingi zgromadzili się ci, którzy szukają uzdrowienia — piją wodę, napełniają nią flaszki. Śliczną, zacienioną, spadziwą uliczkę, wijącą się od klasztoru ku temu źródłu, obsiedli żebracy, spekulujący na swych kalectwach.

Wśród ludu, tłoczącego się u studni, macącego i pijącego tę wodę, istny zbiornik chorób i bakteryj, kręci się z flaszką dziewczyna o twarzy przewiązanej poprzez nos chustą.

Tu dawne dzieje klasztoru budzą się najsilniej—tu żyje oczekiwanie i nadzieja cudu.

Tu w całej pełni rządzi pamięć 5-tej Kingi, słynnej 775 uzdrowieniami Pani sądeckiej.

\*) O beatyfikacji Kingi zaczęto myśleć z inicjatywy królowej Jadwigi.



# FOTOGRAFJE Z PODRÓŻY

Czerwiec 1924 r.

## FORUM TRAJANA

Szanujący się turysta powinien iść oglądać na Kapitolu „bestje historyczne”: wilczycę i orła. Cóż kiedy owa prawniczka zacnej karmicielki Romulusa i Remusa chowała się uparcie w swojej norze przed przykrym upałem i przykrzejszemi może jeszcze spojrzniętami natrętów. Orlica zaś siedziała w swojej klatce z miną znudzoną i złą, budząc politowanie.

Więc nie o dostojnych zwierzach mówić wam będę, Czytelniczki, lecz radabym pokazać waszym oczom obrazki, na które mało kto zważa, a które przecie są jedną z charakterystycznych cech Wiecznego Miasta. Nie wilczyca, nie orzeł, nie gęś kapitołińska.

Jak niegdyś psy konstantynopolitańskie, tak w Rzymie muszą zwrócić uwagę przybysza koty.

Ktoby tam zwracał uwagę na koty! powie z lekceważeniem niejeden. Ponieważ ja mam właśnie słabość do stworzeń, którym dzieje się krzywda, a uważam, że kotom zwykle dzieje się krzywda, zwróciłam uwagę na te mądre, wytworne, a zapoznane stworzenia.

Naogół we Włoszech dobrze im się dzieje. Mówią wprawdzie, że idą nieraz na potrawkę, ale w każdym razie lepiej dobrze karmić i traktować stworzenie, a czasem zjeść je, niż stale głodzić i krzywdzić. Otóż koty, siwe, najszlachetniejszej, rzadko już spotykanej rasy, o krótkim aksamitnym włosie, puszyste, białe Angory pospolite, albo wspaniałe ogromne burki szczurołapy, widzi się wszędzie dobrze utrzymane i ufne. Widać, że człowiek krzywdy im nie robi. Na progach domów siedzą jak hieratyczne posążki, zielonemi lub żółtymi oczyma patrząc spokojnie i mądrze na ruch uliczny. Leżą wśród kwiatów na wystawach ogrodniczych, uganają po zielonych skwerach.

Raz długo stałam, patrząc na obrazek niewysłowionego wdzięku. Był to świeży poranek letni w ogrodzie, dyszącym aromatyczną wonią

kwiatów; po smukłym pnium ciemnego cyprysu śmigła jaszczureczka, taka sama, na jaką w słynnej rzeźbie czątuje Apollo. A za nią gonił czarny kot z agatowemi oczyma. Zdawało się, że to jest igraszka, a nie chęć mordy, tak zwinne były ruchy, tak błyszczące oczy jednego i drugiego zwinnego stworzenia.

A gdy pójść do Galerji starych Mistrzów, to na obrazach uczy w Kanie Galilejskiej czy nawet Ostatniej Wieczery, zobaczysz nieraz grupę taką samą, jaka za chwilę nasunie Ci się przy obiedzie w „trattorji”: pod stołem, dzieląc się zgodnie resztkami festynu, siedział wielki, srokaty kot i czarny piesek.

Ale w tem wszystkim niema nic nadzwyczajnego.

Kiedy jednak wieczorem raz pierwszy natknęłam się, schodząc po schodach na placyk, gdzie wznosi się potężna kolumna Trajana i ze zdziwieniem zobaczyłam jakby ogromny basen, ogrodzony żelazną balustradą, a w głębi jakby pnie ściętego gaju, szczątki kolumn, to wrażenie spotęgowały jakieś niesamowite cienie snujące się między kolumnami, wśród zarastających gdzieniegdzie roślin, jakby minjaturki dzikich zwierząt, pelżających w otoku cyrkowej widowni. Co to jest? czarna sylwetka jedna za drugą pomyka, a nagle widzę w krzewach lauru, na drzewkach oleandru, rosnących po kątach basenu oczy, świecące fosforycznie dziesiątki, setki oczu. Koty. Niezliczone mnóstwo kotów. „Jest ich tu może trzysta” — objaśnia mię sąsiedni sklepikarz.

„Hospicjum dla bezdomnych” żartuje na drugi dzień jakiś rzymski obywatel, który stoi nad balustradą i patrzy, jak wielu innych, godzinami całemi na harce młodych kociaków.

Są tu całe rodziny. Jakby jakieś obozowisko cygańskie. Służące z okolicznych restauracji, wysypują

z koszyków resztki jedzenia: jałmużnę dla tych bezdomnych. Nie wyglądają na wygłodzone. Bułkę, jaką im rzucam, zjadają z godnością, dobrze wychowanych istot, ale bez pośpiechu żebraczego.

Są nawet Lazzaroni, którzy wolą wygrzewać się na słońcu, wyciągnawszy cztery łapki do góry, jak facygować się jedzeniem.

Nie jest to jakaś specjalna rasa, są wszystkie odmiany, arystokraci i plebejusze, starcy i dzieci, najzabawniejsze są czarne: niesamowite, gdy tak maszerują szeregiem po krawędzi ruin. Jest zwyczaj, mówią mi, że kto się chce pozbyć kota starego, albo młodego kociaka, (bo niktby tu nie utopił maleńkich), niesie je na „Forum Trajana”, jak do domu podrzutków. Forum musi się łączyć z jakimś kanałami pełnemi szczurów, są tam również źródła wody i tak te stworzenia żyją sobie i mnożą się.

Gdy zaś kto chce wziąć sobie kociaka, to służący otwiera mu wejście, schodzi po schodkach na dół, i może sobie przywabić upatrzony okaz.

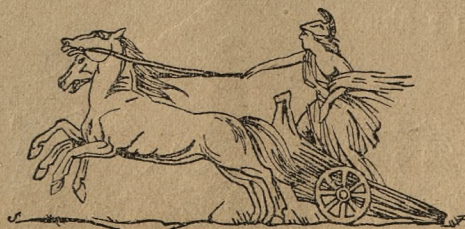
Może okoliczni restauratorowie biorą je czasem na potrawkę? Któż wiel! Inaczej mogłyby przecież rozmnożyć się w nieskończoność, i stać się niebezpieczne, jak myszy króla Popiela.

Mimo wszystko, widok ten nasuwa melancholijne myśli. Kapitol i skała Tarpejska. Ten sam przepyszny siwy kot, który patrzy na mnie z wyniosłą i tajemniczą mądrością egipskiego sfinksa, siedząc we drzwiach antykwariatu dzieł sztuki, pieszczony przez swego pana, siwiuteńkiego jak on sam, kiedyś po śmierci staruszka dostać się może do tej, bądź co bądź, przepaści.

Tylko, że, jak to słusznie zauważył Zola w swoim Rzymie, nędza włoska nie jest tak straszna, jak u nas. Jest to nędza, która nie zna, co to jest zimno! I dlatego, czy to kot bezdomny, czy to żebrak sędziwy, ma beztruską pogodę Dyogenesa, grzejącego się na słońcu.

(c. d. n.).

K. F. B.





# Z DZIENNICZKA MARYSI

Marysia ma własnego kotka,  
Daje mu codziennie śmietanki ze spodka.

Mówi mu: miły mój koczurku,  
możesz figlować po Stryjaszka biurku.

A jakbyś chciał — ja nawet wolę —  
usiąść przy moim talerzu na stole.

Jeszcze ci powiem coś na uszko:  
mam czekoladki pod poduszką.

To dla mnie i dla ciebie, kocie,  
Tatus mój przywiózł te łakocie.

Cesia idzie z wiadrem do krów.  
Zabierz mnie z sobą, Cesiu, znów!

Wezmę malutki dzbanuszek,  
udoję mleczka dla muszek.

W kubek udoję dla kota.  
To będzie moja robota.

Nasz wilczek nigdy nie wstanie  
na Marysieńki wołanie.

Spojrzy, przybliży ucha,  
ale jej nie posłucha.

Krówki w oborze mieszkają,  
zawsze się Cesi słuchają.

Marysia próżno czeka,  
Żadna jej nie da mleka.

Urodzili się prosiątka w chlewie.  
Pewnie Dziadzius nawet o nich nie wie.

Nalejemy mleczka do miseczki,  
napoimy malutkie świncezki.

Żeby tylko mi Mamusia dała,  
wszystkie świnki bym ucałowała!

Koniki, pilnujcie łączki!  
To dla mnie wyrosły strączki.

Po grochu znowu chodźcie:  
nic mi nie zostawicie.

Z Ciocią rzodkiewki sadziłam,  
kury z nich wypędziłam.

Bo takie dzioby mają,  
że wszystko wyjadają.

Zrywamy dojrzałe porzeczki  
do buzi i do miseczki.

Iść nie możemy dalej,  
tak nas pokrzywa pali.

Mały czerwony cielaczek  
zasłonił nam cały krzaczek.

Wrócimy chyba do domu.  
Nic nie powiemy nikomu,

Widzisz te domki zdaleka?  
To się nazywa pasieka.

W tych domkach pszczoły mieszkają,  
miodek słodziutki zbierają.

Panie dały im dziś miodu,  
żeby nie umarły z głodu.

Ale więcej im zabrały,  
żeby się nie objadały.

Byk uciekł z łąki na drogę.  
Ja iść już dalej nie mogę.

Byk ani trochę nie słucha  
swojego Pana Pastucha.

Ale psa Burka się boi,  
jak tylko co złego zbroi...

Burku, zaszczekaj na byka,  
niech stąd copędzej umyka.

Lubię krajać do obiadu grzyby,  
W kuchni ogień rozpalić na niby.

Kaczki karmić jeszcze lepiej wolę,  
i biec z Cesią po kartofle w pole.

Ale moja najlepsza robota:  
wejść bosemi nóżkami do błota.

Takie czarne, takie miękkie, tak cudnie chlapie!  
Tylko zaraz mnie Mamusia znajdzie i przyłapie.

(IRUSI)

Ja—kureczka, ty—kureczka.  
A to są nasze gniazdeczka,

Ze słomy zrobione oba,  
A każde nam się podoba.

Kamyczki te będą jajka.  
I już skończona bajka.

(IRUSI)

Wszystkiem z Tobą się podzielę.  
Urządzimy dziś wesele,

Znalazłam dwie gruszki w trawie.  
Jedną dla Ciebie zostawię.

Dwa jabłuszka z drzewa spadły.  
Będziemy je razem jady.

Gdybym dwóch Tatusiów miała,  
też bym Ci jednego dała.

Krowa z łańcucha się zerwała.  
A tam śpi siostrzyczka moja mała!

Śpi w wózku, przy ławce, w ogrodzie.  
Przecież krowa małe dzieci bodzie!

Ja zasłonię rączką Zosię naszą.  
A psy krowę z ogrodu wystraszą.

Chcę mieć własnego dzidziusia,  
zupełnie jak moja Mamusia.

Nakarmię go z buteleczki  
i jeszcze mu dodam bułeczki.

Ale Bożię będę prosić musiała,  
żeby mi lekkiego dzidziusia dała.

Bo nie mogę sama podnieść Zosi,  
kiedy płacze i na rączki prosi.

Patrz, Mamusiu, jakie chmurki na niebie!  
Co tam Bozia teraz robi u siebie?

Pewnie w domu przy okienku siada,  
aniolczkom bajki opowiada.



GRAZIA DELEDDA

## SENTYMENTALNA NOWELKA

Przeł. z włoskiego J. D.

12 październik 1903 r.

Szanowny Panie!

Czytałam w przeglądzie medjołańskim jego prześliczną nowelkę „Litość” i pragnęłabym bardzo, o ile pan pozwoli, przetłumaczyć ją na język niemiecki i holenderski. Przekład niemiecki umieściłabym w tygodniku wiedeńskim „Die Zeit”, jednym z najważniejszych pism tamtejszych. Ja jestem Niemką, ale rodzina mojej matki była holenderska i, mieszkając prawie cały rok w tym kraju, znam doskonale język holenderski. Byłam niejednokrotnie we Włoszech, a we Florencji miałam szczęście bywać w domu prof. Rigutini. Znam tedy dostatecznie język włoski i może pan być spokojny, że przekład byłby wierny. Podczas pobytu mego w Neapolu, gdzie zamierzam przybyć i tej zimy, odwiedziłam wyspę Nisidę, gdzie się rozwija akcja Jego „Litości”. Nowelka zajęła mnie też i z tego powodu. Różne przyczyny skłoniły mnie do ponownego przeczytania i do przetłumaczenia pańskiego utworu, który mi się wydał drgającym pełnią uczucia i pozwolił jeszcze wierzyć w dobroć duszy ludzkiej.

Co do warunków, byłoby nam łatwo się porozumieć, gdyż kazalabym wysłać wprost od „Zeit” całą należność.

Prosiłabym też o wiadomość, czy napisał Pan jeszcze coś więcej i o przysłanie notatki biograficznej, którą chciałabym dołączyć do tłumaczenia.

W nadziei otrzymania rychło przychylniej odpowiedzi — przesyłam zapewnienie szczerzego podziwu.

Elżbieta Kerker-

Otworzył okno i usiadł przy stole. Wszystko dokoła było szare, smutne, milczące, ale dla niego otworzyły się horyzonty olbrzymie i płonące. Nie zapomniał nigdy tej chwili szczęścia słodkiej i pełnej lęku.

\* \* \*

Szanowna Pani!

Przyjmuję Jej propozycję i dziękuję, pełen wdzięczności. Gdyby pani wiedziała, jakie dobrodziejstwo mi robił...

Nie jestem pisarzem, ale ponieważ Pani chce wiedzieć coś o mnie, pozwolę sobie donieść, że jestem skromnym nauczycielem ludowym, biednym młodzieńcem, wygnanym do kraju dzikiego i smutnego. Jestem samotny, tak samotny w tem smutnym pustkowiu, że głos życzliwy, nawet zdaleka, wystarcza, by mnie podnieść na duchu i wzbudzić nadzieję. List Szanownej Pani doszedł mnie w chwili ponurej, kiedy myśl o śmierci wydała mi się pieszczotą matczyną. Nie wiedziałem nawet, że moja nowelka była wydrukowana. Napisałem ją w jednej ze zwykłych smutnych chwil mego życia, gdy odbywałem powinność wojskową na wyspie, mieszczącej zakład karny. Nowelka może zająć, ponieważ jest przeżyta. Na miejscu mego bohatera byłbym uczynił to samo. Powiem więcej: wyśniłem moją nowelkę. Wrażenie tego snu było we mnie tak silne, że przez długi czas wyobrażałem sobie, że istotnie widziałem twarz skazańca, który błagał litości. Dotąd jeszcze widzę tę postać, błogosławiącą mnie i przepowiadającą szczęście. Zawsze, gdy się czułem nieszczęśliwy i szukałem nadaremnie trochę uczucia i dobroci ludzkiej, przepowiednia skazańca stawała mi gorzko w pamięci i wydawała się ironią losu; ale dziś zaczynam wierzyć, że moje uczucie litości względem bliźniego nie było próżne. Na wszystko czas nadchodzi i nareszcie i dla mnie wybiła godzina radości. Dziś zaczynam żyć; zdaje mi się, że się zbudziłem z długiego snu i czuję siłę tajemną, która się rozwija we mnie. Miałem się za samotnika, wyganego z życia i sądziłem, że tylokrotnie opisywana radość życia istnieje tylko w powieściach, tymczasem czuję, że głos mojej duszy może przejść, a nawet już przeszedł daleko i wzbudził oddźwięk dusz bratnich. Myśl ta wystarcza — więcej niż duma, iż skromna moja praca znana jest w krajach dalekich — żeby mi kazać pokochać życie.

Dzięki zatem Szanownej Pani za dobro, jakie mi dała i proszę wierzyć, że jestem Jej najwdzięczniejszym.

Serafino Rossi.

\* \* \*

Szanowny Panie!

Otrzymałam pański list i dziękuję za dowód zaufania. Jest Pan naturą prawdziwie szlachetną i szczęśliwa jestem z poznania Go. Mam nadzieję otrzymać więcej listów, niemniej rozkosznie szczerych, jak pierwszy. Czuję, że Pan jest bardzo młody, młodszy odemnie, niech mi tedy będzie wolno być nie tylko Jego tłumaczką, ale i daleką przyjaciółką. Mówi się daleką, ale dziś niema odległości i czytałam w „Figarze”, że są panie, które sobie oddają wizyty z Europy do Ameryki.

List Pański zainteresował mnie więcej jeszcze niż nowelka, wydał mi się kartką z powieści; ale któż nie posiada kartki z powieści mniej lub więcej pięknej, mniej lub więcej strasznej, mniej lub więcej komicznej w swoim życiu!

W „Litości” pańskiej znalazłam właśnie coś szczerzego, coś odczutego, co mnie uderzyło jeszcze z pewnego osobistego powodu. Stary przyjaciel mojej rodziny, którego kochałam jak ojca, został przed kilku laty skazany za zabójstwo drugiej żony, zdradzającej go. Starał się uciec i został zabity przez strażnika. Nowela pańska, jak się pan domyśli, zajęła mnie mocno z tego powodu i przez prostotę swoją. Osmieliłabym się radzić Panu, byś pisał dalej. Ja też napisałam parę nowel i przetłumaczyłam poezje i romanse włoskie, ja też, kiedy przebywam przez miesiące w południowej części Holandji — uczę trzydziścioro biednych dzieci. Jak Pan widzi, praca nasza jest podobna, a ja jednak mam więcej wiary w życie niż pan i śmiem powiedzieć: pan niesłusznie się uzala. Bieda jest nieraz szczęściem (przepraszam za paradoks). Człowiek biedny ma mniej sposobności od bogatego do marnowania życia, ma mniej środków, niż bogaty, by żyć prawdziwym życiem moralnym, a poza tem życie ubogiego jest pełniejsze, bo zawdzięcza i materialnie wszystko sobie samemu. Człowiek zdolny wreszcie, gdy ma trochę dobrej woli, dochodzi do czego chce. Nie, niech mi Pan wierzy, ubóstwo jest najmniejszym nieszczęściem. Zresztą los jest kapryśny i często daje nagle, w jednej chwili, to, czego odmawiał przez lata.

Przepraszam Szanownego Pana, że piszę tak niezręcznie; pragnęłabym posiadać dar, wypowiedzenia się w Jego pięknym języku, by móc wytłumaczyć Mu wszystkie moje myśli o życiu, które dojrzały w mojej głowie wskutek licznych doświadczeń. Ale mam nadzieję, że znajomość nasza potrwa i nie zbraknie sposobności do lepszego poznania się i dyskusji i t. d. i t. d.

\* \* \*

obawiał.

(c. d. n.).

15)

HELENA CEYSINGERÓWNA

## D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ó)

— Ty? O co pytasz? Ty jednym porywem zachwytu sięgasz tam, dokąd ja ze śmiertelnym wysiłkiem po szczeblach zdążyć muszę. Ale dojdę! Dojdę. Serce podepcę! Przez zmysłów popielisko gorące bosemi przejdę stopami...

— Czy wiesz, żeś w tej chwili i moje podeptał serce?

— Wiem.

— I tak musisz?

— Muszę! Bratni my jesteśmy, a różni... Błagaj więc Się Przedwiecznych, by drogą naszym zetknąć się pozwolili... w końcu...

— Zostań! Tak dobrze jest żyć prostem, ludzkim życiem. Tak dobrze jest żyć prostem ludzkim szczęściem!

— Nie! I mój duch ma skrzydła, a one rwą go w górę, zdala od ziemskich, zacisznych przystani. Nie chcę! Słyszysz! Nie chcę!

Oczy smugami błękitu i złota pasują się ze sobą i toną w sobie zapamiętaniem miłosnym, rozpaczą rozstania. Usta ustom oddają słodczy mocną, jak śmierć, jedyną i ostatnią.

Po kraju cichym, kurhannym idzie tymczasem szeptana wieść o cudownym zjawisku, co się ukazało pod Ostrołęką. Bieży daleko, ku źródłom wiślanym, ku piaskom Pilicy... zaszumiały nią stare graby i wiązy Gostkowa.

Ktoś tam rzekł: Będzie wojna.

— Miraż! — tłómaczą uczenie ludzie rozsądni, ale leżące w trumnach serca bić poczynają na wieść, że gdzieś tam na chmurach ukazało się wojsko...

Zaniepokoiło to nawet władze, władze, które fantastycznych zjawisk nie lubią. Nie lizia! Polszy w grobowym jej śnie nie wolno mieć widzeń żadnych!... chyba za specjalnem pozwoleniem gubernatora!...

Sporządzono już kilka protokółów w tej sprawie, wysłano kilka raportów, a pewnego wieczoru zaszedł do apteki Lipowieckich p. Kudasiewicz, urzędnik w powiatu, młodzieniec długi, chudy, ryży i w nauczycielce Lipowieckich srodze rozkochany. Zamówiwszy się o proszki od kaszlu, gdy został sam na sam z aptekarzem, począł, wytrząsając nad nim długimi ramiony tłómaczyć, że panna Wanda natychmiast z Ostrołęki wyjechać powinna. Naczelnik straży ziemskiej mówił dziś, że jest już na tropie osoby, która była przyczyną „zaburzeń“. Władze żandarmskie w Łomży sprawą tą się interesują, a przytem... ten jakiś obcy

człowiek ten Jan Wrzeszcz, z którym pannę Wandę widziano parę razy!... Przyjechał podobno z Rosji; niewiadomo, kto to jest, może nihilista jaki...

Wszystko to przeraziło Lipowieckich niesłychanie.

Przeraziło i oburzyło: a więc nie tylko niedorzeczne gadaniny, widziadła, majaki, ale był jeszcze w dodatku i jakiś Wrzeszcz!!!...

Nauczycielka musiała tej nocy jeszcze spakować rzeczy.

Kudasiewicz dostarczył pasportu na cudze nazwisko i o czwartej godzinie rano najętemi końmi pojechała Wanda ku jednej z dalszych stacyj kolejowych, by nie wyjeżdżać wprost z Ostrołęki, gdzie ją znano.

Utraciła tu na zawsze tak zwaną „opinję“.

Tumany mgieł przegania wiatr poranny po polach czarnych, po gajach zielonych, po łąkach złotych od jaskrów i kaczeńców. Wstają mgły białe z nad strumieni, dolin, jarów, wiją się ponad ziemią w zwiewnych fantastycznych kształtach, w powietrzu, pełnem wiosennych woni.

Cudnie i smutno!

Jak smutno!

Bez pożegnania!...

W daleki obcy świat!...

W świt porankowy, ku pustyniom kamiennym życia!...

Sama! Sama jedna!

Z tumanów mgieł wyniknęła nagle u skraju drogi postać upragniona.

Jan stał z odkrytą głową, trzymając w ręku rozkwitłą gałąź jabłoni.

Kazała zatrzymać konie. Wysiadła. Wózek potoczył się wolno po piaszczystym trakcie; szli za nim, ścieżyną przydrożną.

Dziewczyna drżała od chłodu poranku, od chłódów duchowych, co powiem przeczuć złych trącały o smutną jej duszę.

— Tak bardzo chciałam, choć raz jeszcze...

— Widzisz kochana, zwał nas wietrzyk wiosenny ze starego pola bitwy, jak te tumany mgieł, ale na pamięć najśodszych dla mnie godzin niech ci zostanie gałązka wiosennego kwiecia i ten znak.

Podał jej, wraz z kwiatem jabłoni, wąską złotą obrączkę, z wyciętym w różowym kamieniu kwiatem lotosu.

— A ty?... Nie mam pierścionka, by ci w zamian dać.

Nie mam nic.

— I nic nie potrzeba! Obręczą tęczową opasałaś mego ducha.

Z tych tęczy długo się będę musiał rozdziewać, nim znów słoneczne-

go światła zdobędę bezkolorowy blask.

Gdy tęcza ta opadnie, przyjdę znów do ciebie.

— Przyjdiesz? Wrócisz! Kiedy?

— Nie wiem. Gdy mocno zawołasz... Gdy trzeba będzie... a może, może w pierw przyjdiesz ty, jakom ci mówił, rzuciwszy wszystko, samotna, wolna, duch jasny i mocny.

Pogarnęła się ku niemu pieszczotą serdeczną.

— Janku, ja już dziś pójdę za tobą wszędzie, gdzie zechcesz. Widzisz przecie: sama jestem i wolna. jak ptak tułaczy!...

— Nie jesteś wolna. Dziś pójdziesz, a jutro odwołają cię mgły z pobojowisk.

Spuściła głowę.

— Więc ty zostań ze mną! Zostań, boś i ty Jej synem!..

Płomień gorący przeleciał mu po twarzy, zwiewając na chwilę zimną pogodę rysów i zmuszając do całowania tych oczu, co patrzyły nań sieroce, straszne... Ale za chwilę już uspokoił się, ścichł w sobie i opanowany zupełnie mówił łagodnie, z uśmiechem przedziwnym.

— Teraz? Nie! Jeszcze nie dorosły duchy nasze. Teraz byłoby to zejściem do zwykłej małości człowieczej. Za nic!

Teraz pójdziemy w świat mgłami zasnuty, przebogaty rozmaitością zjawisk, pójdziemy, każde ścieżyną własną czynić swój własny duchowy trud.

Ciszą świetlistą jaśniało mu czoło, złote oczy patrzyły z nieporównaną wnikliwością w głąb jej duszy. A—wiało od niego chłodem rozstania, chłodem beznamiętnych, jak toń wodna szklitych nurtów ducha. Uśmiechał się wciąż pogodnie, miękko...

Wanda przymknęła oczy.

— Idź już — rzekła zbieletemi usty — Już nie mogę dłużej. Bądź zdrów, Janku! Zdobądź wszystko, do czego dążysz, osiągnij wszystko! O mnie zapomnij! Tęsknota moja nie przyleci!...

Wysunęła dłonie z jego rąk i pobiegła za wózkiem. Nie oglądając się, siadła i po paru chwilach dopiero spojrzęła za siebie.

Jan stał w środku gościńca, na wzgórzu, z którego wózek jej staczał się szybko, po pochyłości, w dół, coraz chyżej, coraz dalej..

Jan stał i patrzył.

Wtem wzeszło słońce.

VICENTE BLASCO IBANEZ

2)

Przekład z hiszpańskiego. r. c.

## STARUSZKA Z KINEMATOGRAFU

— Jutro tutaj o tej samej porze. Ja funduję.

Wdowa zdawała się zdziwiona tem zaproszeniem.

— Mieszkam za Paryżem, to cała podróż. Muszę wstawać bardzo wcześniej, aby móc, przed pójściem do fabryki, zająć się małym i wysłać go do szkoły! Niepodobieństwo!... A zresztą, po co wracać? Albert (nie zmarł) twychwstanie, a to widowisko zabije mnie.

Stara powiodła wzrokiem za odalającą się wraz z dzieckiem, chwiejąc się na nóżkach z senności. Zawsze myślała, że żona wnuka jest bez serca.

— Tak, tak, ja jedna tylko pamiętam o Albercie!...

Nazajutrz była smutna i ponura przez cały dzień. O zmierzchu zaszła do winiarni, aby spotkać się z ojcem Crainquebillem. Jakkolwiek stary warzywnik — filozof mało był zazwyczaj wymowny i przechodził obok ludzi i rzeczy, nie zwracając na nic uwagi, zdawał się jednak interesować nieco więcej sprawami i opowiadaniem dawnej swojej koleżanki. Obserwował ją w milczeniu. Od kilku dni zdawała się jakąś odmienioną. Wydawała pieniądze, stawiała wszystkim; przychodziła późno po zakupy, płacąc drogo za najlichszy towar, aby potem sprzedać taniej niż wszyscy inni.

— Zrujnujesz się; zjadasz swój kapitał.

Mimo to bez wahania w dalszym ciągu wychylał kolejki, fundowane mu przez starą.

O ósmej zaczęła zdradzać niepokój.

— Do widzenia, Crainquebille. Idę sama, jeżeli nie chcesz iść ze mną. Mój wnuk przedstawia przecież w kinematografie.

— Ależ twój wnuk zabity został na wojnie.

— Prawda, że go zabili, a jednak przedstawia w kinematografie.

Filozof wzruszył za całą odpowiedź ramionami. Nauczył się od tego, który był protektorem jego i mistrzem, że na tym świecie nie należy dziwić się niczemu.

Czyny najpospolitsze i najwzklejsze nawet wydają się niezrozumiałymi i niepowiązanymi, kiedy bada się je z bliska. Tembardziej więc niema co szukać logiki w wyjątkowych wydarzeniach naszego życia.

### III.

Po naciśnięciu palcem dzwonka obejrzała starowina swoją czarną, jedwabną suknię. Pochodziła jeszcze z czasów, kiedy żyła biedna jej córka. Sama ją krajała i fastrygowała; nie-

wiele jednak zostało już z pierwotnego wyglądu szaty po wszystkich reperacjach i przeróbkach, jakim była poddawana przez cały długi czas swojego istnienia.

Uznała, że suknia wygląda wcale nieźle. Trochę wyszła z mody! Ale ludzie rozsądni umięją zawsze ocenić gatunek materiału, a dzisiaj nie robią już takich jedwabiów, jak dawniej. Nie nosiła kapelusza, ale dumna była ze starannego uczesania bujnych, siwych swoich włosów.

Zachwyciła się pałacem, biejącym poza sztachetami wśród drzew. — Ze też kobieta zarobić może tyle nogami!... Ale nadejście młodej dziewczyny w białym fartuszkach i czepeczku nie pozwoliło jej przyglądać się dłużej. Elegancka służąca zbliżała się na odgłos dzwonka. Jej impertynenckie zachowanie nie podobało się starej, jeszcze mniej jej szorstki głos i spojrzenie pogardliwe, jakim obrzuciła ją od stóp do głowy.

— Moja kobieto, jeśli to po jałmużnę, przyjdźcie innym razem. Mojej pani niema w domu.

Stara zaperzyła się z oburzenia. Zdrowo zdzierałaby ją pięścią, gdyby nie sztachety!... Zaczęła coś mówić szyderczo o płaskiej piersi jej mościanki, o jej braku bioder, jak u chłopaka, i ton wymysłów szybko podnosił się, kiedy nagle uczuła, że ktoś ujął ją za ramię.

Odwróciła głowę i zabaczyła obok trotuaru samochód, który tylko co się zatrzymał. Wytworna młoda kobieta wyskoczyła z niego, uśmiechnęła się do starej i rzuciła się jej na szyję.

— Babciu!... Babuniu!...

Staruszka zauważyła przede wszystkim, że „sławna tancerka“ jest w żałobie; tualeta jej była wspaniała, wyzywająca, ale jednak żałobna. — Najwidoczniej po Albercie. — W tej chwili poczuła, że wnuczka wciąga ją łagodnie poza furtkę, którą pokojówka pospieszyła otworzyć. Zamierzała spiorunować zuchwałą dziewczynę spojrzeniem, ale ta niewinnie już spuściła oczy, widocznie bardzo onieśmiewiona.

Kobieta, którą wzięła za żebraczkę, okazała się babką samej pani... Równocześnie oburzała się w duszy na niesprawiedliwość losu. Przygotowywała się do maturalnego egzaminu, na górze, w swoim pokoju, miała cały, gęsto zapisany, kaset własnych wierszy, a żaden książę z bajki nie porwał jej jeszcze i nie ofiarował jej takiego, jak ten, pałacu!

Stara, przechodząc przez salony tancerki, nie przestawała dziwić się.

Wyobrażała sobie przepych w inny sposób: wysokie, bogate krzesła, meble wielkie i masywne! Tutaj, prawie nie było na czem usiąść. Sprzęty takie jakieś wydawały się misterne i kruche, że człowiek ledwie śmiał dotknąć się ich; kolory ścian i firanek takie były dziwne i takie pstre, że aż kręciło się od nich w głowie.

Zaledwie zdążyła wymówić imię Alberta, wnuczka wzruszyła się i natychmiast straciła ptaszcę swoją wesołość.

— Ile leż kosztowała mnie jego śmierć! — rzekła, mając istotnie oczy wilgotne. Niebardzo zgadzaliśmy się; prawie nawet nie widywałam go! Nie mógł zrozumieć mojego sposobu życia. Mimo to bardzo go kochałam.

Wzięła w rękę fotografię, stojącą obok ulubionej kozetki na małym stoliku i przytknęła usta do twarzy młodego chłopca. Była to fotografia Alberta. Ta wierność wzruszyła babkę. — A ludzie gadają, że Julisia taka a taka, wyrzucają jej sposób życia, jej zawód... A przecież to złote serce! —

Zachwyt ochłódł jednak nieco, kiedy zauważyła spokój, z jakim tancerka przyjęła opowiadania babki o jej odkryciu w kinematografie.

— To ciekawe — powiedziała tylko, — naprawdę ciekawe. Chcesz zaprowadzić mnie tam, babciu? Dobrze, ale pod warunkiem, że zostaniesz u mnie na obiedzie.

Wspomnienie o bracie wskrzesiło w jej umyśle cały szereg innych obrazów.

— Niestety! babuniu! Biedny Albert nie jest jedynym, który poszedł na wojnę. Są jeszcze inni, żyjący dotychczas, a ci, co żyją, więcej nam przyczyniają trosk niż ci, co umarli.

Myślała o swoim przyjacielu, bardzo bogatym młodzieńcu, którego staruszka nigdy nie widziała, a który, jak mówili ludzie, miał się ożenić z tancerką.

Nie mogły mówić dłużej. Była to pora herbaty popołudniowej, i przyjaciółki Julisi zaczęły schodzić się, wszystkie strojne, w eleganckich, dziwacznych tualetach, na których widok stara aż mrugać zaczęła oczami, odwracały bowiem do góry nogami wszystkie jej pojęcia. Niektóre, pomimo swoich strojów nadzwyczajnych, zazdrościły Julisi jej żałoby, a jedną z nich posunęła się nawet do dość cynicznego wyrażenia swoich pragnień.

— Jak to dobrze mieć wypadek śmierci w rodzinie! Czarny kolor taki jest twarzowy!

(c. d. n.)

10)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

## E M I L V E R H A E R E N

Poezja chrześcijańska rzadka jest i trudna. Cnota, jak wiadomo, nosi szarą suknię i zniszczone obuwie... to ją depoetyzuje zmysłom. Patos święty jest tem dla wrażliwości, czem wysokie cis dla głosu. Nie uszedł zwycięsko tego szkopułu ani Chateaubriand, ani Rostand, ani Sienkiewicz w Quo Vadis. Nie dość być wielkim artystą, nawet wielkim poetą—trzeba być wielkim duchem, żeby się ryzykować na te lodowce i z nad przepaści rwać kwiaty ekstazyków i męczenników! Calderon i Corneille dali nam apoteozę bohaterstwa chrześcijańskiego: woli chrześcijańskiej — Maeterlinck absolut czystości chrześcijańskiej (Marja Magdalena). To byli jednak wierzący, lub mistycy.

Ale nie mogę sobie przypomnieć, aby ktoś od czasów Danta napisał karty chrześcijańskiej poezji tak wstrząsające, prawdziwe i rzewne, jak Verhaeren, ten nie — wierzący i nie—mystyk.

Są pewne tajemnicze skrytki uczuciowości, do których klucz posiada tylko dusza rasy. Trzeba być chrześcijaninem od niepamiętnych pokoleń, trzeba mieć we krwi Ewangelię, aby te poematy napisać! Żadna zmiana przekonań nie wytrawiła w sercu Verhaerena odziedziczonych i dziedzinie hodowanych fibrów tych głębokich, które, choć pękło połączenie ich z mózgiem, pozostały żywymi i wibracje swe przekazały artyście, gdy tworzył. Święty Jan jest gloryfikacją serca ewangelicznego — Klasztor: chrześcijańskiego sumienia.

Przyzwyczajone przez konfesjonał do ustawionej samokontroli i szczerości ze sobą samym sumienie chrześcijańskie, niezdolne do kompromisów, doprowadza potrzebę w człowieku sprawiedliwości i prawdy do absolutu — łaknienie ekspjacji do męczeństwa.

Serce ewangeliczne i sumienie chrześcijańskie są to dwie Potęgi świata chrześcijańskiego.

Należy się cześć Verhaerenowi za to, że wydobył z ukrycia dwa te starożytne klejnoty i błysnął niemi przed oczyma współczesności, która o nich zapomniała!

Święty Jan, cudowny w swoim łakonizmie i prostocie — nie nadaje się do analizy. Trzeba tylko wypić słodycz jego wierszy do dna tej ostatniej strofy, w którą złożoną została teza poematu:

„Serce ulubionego Ucznia zastępowało na ziemi serce Chrystusa, gdy To przez trzy dni spoczywało w grobie”.

(*Rythmes Souverains Saint Jean*)

Klasztor roztacza przed nami chrześcijańską magię cudownych preistaczań człowieka: pod jej ręką czarodziejską nowy człowiek rodzi się ze starego, jak motyl z poczwarki — ze zbrodniarza wychodzi święty!

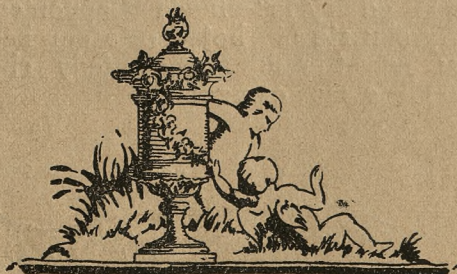
Intryga klasztoru jest przykuwająca: Mnich, Dom Baltazar, bohater dramatu, wzbudza w klasztornej braci podziw zresztą mocno żółcią zawiści zaprawny... tak wysoko wzniósł się po szczyblach świętości! A jednak Dom Baltazar wstąpił do klasztoru przed dziesięciu laty, jako hrabia d'Argonne, księżę Bispaire, który zamordował swego ojca! Nikt o tem nie wie, oprócz starego przeora, któremu odrazu zwierzył się kojący się przestępca i który został nadal jego spowiednikiem.

Zbrodnia była ciężka, choć przez okoliczności złagodzona, była raczej czynem szaleńca, niepohamowanego w uniesieniach. Przeor rozgrzeszył go z niej oddawna, a umiłowany go, jak syna, za wielkie cnoty i mocny charakter, przeznaczył go na swego następcę. — Napróżno!

Uniewinnili ludzie — rozgrzeszyli kanony kościelne — ale nie rozgrzeszyło własne sumienie. — Sława świętości, jaką otoczył go Klasztor i lud okoliczny, była dlań torturą nie do zniesienia. Czuł się uzurpatorem zaszczytów, na które nie zasłużył, wyzyskiwaczem naiwnego zaufania i zachwytu serc ufnych i niewinnych. Zdawało mu się, że jest bezwstydnym oszustem i nędznym komedjantem! Mękę moralną powiększała jeszcze wola starego przeora, przeznaczająca mu najwyższą w kapitule godność swego następcy.

Potoki łez, dziesięć lat postów, modlitw, włosienicy, srogich biczowań i zupełnego wyrzeczenia się siebie nie mogło ukoić zboląłego sumienia, oderwać duszy od krwawego widma przeszłości!

Cierpienie moralne, podobne do chronicznej choroby, przechodziło niekiedy w stan ostry, ataków nie do zniesienia. W przystępie jednego z nich Baltazar wyblagał sobie u przeora spowiedź publiczną — i odbył ją wobec całej kapituły. Ale i ta pokuta, tak upokarzająca, nie przyniosła mu ukojenia.



Więc wyłamał w kościele kratę, dzielącą go od ludu i wyznał publicznie swą zbrodnię...

Wtenczas dopiero zadowolniło się sumienie, gdy wygnanego z klasztoru po sromotnym zdjęciu święceń kapłańskich, ujęła sprawiedliwość świecka i powlokła na szubienicę.

## POTĘGA — KOBIET

KOBIETA — ŻYWIOŁ.

Szkarłat jest ulubionym kolorem Verhaerena. Słowo vermeil spotyka się na każdym kroku tak, jak pycha, żarliwość, zażartość i złoto. Szkarłatnym jest dla niego, wiatr, ziemia, pustynia — szkarłatną mądrość, łono, Venus, Faraon etc. i t. d...

Przypomnijmy sobie, że stara flamandzka szkoła malowała cały obraz na czerwono... Dziwna zbieżność: Verhaeren jest do szpiku kości flamandem. Siedzi w nim cały Rubens. Ogromne malowidła tych samych orgiackich kabiet ilustrują karty Verhaerena. Verhaeren jest po flamandzku zmysłowy, a w zmysłowości tej brutalny, on wprawdzie nie szuka scen drastycznych, ale jeżeli linja utworu przez nie przechodzi, to ręka jego nie zawaha się przed niczem, nie prześlizgnie się nad żadną drażliwością i owszem, zatrzyma się, zdezre ostatnią osłonę z ostatnich obnażeń i poświeci... wynajdzie obraz brutalniejszy, niżby było samo nazwanie rzeczy po imieniu (patrz w wierszu „Korona”). Brutalność tę ratuje jednak szybkość i nieoczekiwaność rzutu, który ma w sobie coś z odruchu gorączki i głodu, o którym może nic nie wiedzieć świadomość i może świadomość nie dopuściłaby do niego, gdyby jej dał czas zareagować żelazny kułak i piorunujący głos natury. — Zmysłowość Verhaerena wydaje czasem ryk lwa:

„Wszechświat będę posiadał, gdy posiędę twoje... a gdy będziesz stoją na odchodzie w inne objęcia, będę miał, aby się po tobie pocieszyć, wszystkie inne”. Szorstkie zawrócenie od prerafinowania hyperkultury z jej konwenansową minoderją i anemiczną pruderją do żywiołowego stosunku płci w stanie dzikości! Kobieta jest tu inicjatorką, godna córka meta-kobiety, Verhaerenowskiej Ewy z „Raju”. Wylecza ona hyperintelektualistę z jego suchotniczej i manjackiej mózgowości!

(c. d. n.).

## MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—26)

V.

Uwięzienie hrabiego Fryderyka odbiło się bolesnym echem w sercach jego przyjaciół. W Malezyckim dworze pod Lwowem współczują z „nieśkończonym smutkiem“ niezszczęściu przyjaciela.

— Nie mogę myśleć o jego biednej żonie — pisze dobra Zosia Woynianka do Gina Capponiego 11-go stycznia 1822 r. „Jakiż to ból dla niej: wiedzieć, że mąż taki jeszcze chory i nie móc go otoczyć swą tkliwą opieką. Ale pomimo całej swej czułości ta niepospolita kobieta [ma odwagę] bohaterską do przenoszenia prób życia:

Speso é da forte  
piu che il morire il vivere.

Trafną cytata wybrała dla swej włoskiej przyjaciółki polska panienka. Teresie w owej chwili potrzeba było istotnie „więcej męstwa, aby żyć, niż aby umrzeć“!

Spokojna na pozór, choć świadoma całej grozy położenia, dostojna w swej czarnej, skromnej sukni, której już nie zdejmie aż do śmierci, stoi biedna kobieta dzień po dniu u bramy więzienia, wyęzając wszystkie siły by dopomóc ukochanemu człowiekowi, który tam samotny toczy swój rozpaczliwy, ostatni bój ze „smokiem“.

O jakże się raduje ten austriacki smok ze swojej zdobyczy! Jakże triumfalne raporty spieszą do Metternicha o pojmaniu „koryfeusza partji liberalnej“ „głowy wszelkich kno-wań rewolucyjnych“, człowieka, „który od roku 1814-go nie zaniedbał ani jednego dnia, aby pod osłoną chwalebnej działalności filantropijnej szerzyć z niezmordowanym zapalem szaloną i niezdrową fantasmagorię Zjednoczonej Italji i gotów był dla tego występnego celu uzbroid najgorszy motłoch“ (Strassoldo do Siedlnickiego).

Cała bieda w tem, że niezmiernie trudno zebrać konkretne dowody dla legalnego potępienia zbrodniarza, a jeszcze trudniej wydobyć od niego zeznania tak bardzo interesujące nie tylko Wiedeń ale i całe światne zgromadzenie, które w Weronie radzić będzie nad zabezpieczeniem Europy.

Genjalny inkwizent Salvotti, który dopiero co ukończył wielki proces karbonariuszy weneckich i dokonał nielada sztuki, zrobiwszy z naiwnych poczynań marzycieli, poetów i muzyków, jak Pellico i Maroncelli, zbrodnię stanu, godną szubienicy, teraz został mianowany przewodniczącym „Komisji

Specjalnej“ powołanej przez cesarza do badania i sądzenia rzekomego spisku medjolańskiego.

Indagator, oskarżyciel, obrońca i sędzia w jednej osobie, Salvotti był człowiekiem niepospolitej inteligencji, gładkich manier i demonicznej chytryści. W Confalonierim napotkał jednak nie byle jakiego przeciwnika. Oskarżony, choć prawie zupełnie bezbronny wobec dziwnego proceduru tego sądu, walczył długo „z podziwu godną bystrością umysłu“, o głowę swoją i cześć i niemało trudu musiał sobie zadać Salvotti, zanim sztuką i przemocą wyrwał od współoskarżonych zeznania dostateczne, by ukreślić stryczek na szyję głównego winowajcy.

Głównym ciosem było dla Confalonieriego załamanie się Pallavicina, który uległ indagacjom i wypowiedział się ze swej tajnej misji do Turynu. Kajał się potem i udawał szaleństwo, by osłabić wagę swych zeznań, ale zło nie dało się już odrobić.

Przypomniał sobie po niewczasie Confalonieri, jak pani Teresa nieomylnem przecuciem wiedzona, odradzała mu wysyłania młodego zapaleńca z tak poważną misją, jak potem przeraziło ją areztowanie Pallavicina i jak prosiła męża, by niezwłocznie ratował się ucieczką. Fryderyk, dla którego śmierć nie była straszną, poznał wnet, że są rzeczy od śmierci gorsze i wtedy dopiero pożałował, że samochcąc prawie, oddał się w ręce wroga.

Salvotti, podobnie jak w tym samym czasie godny jego kolega Nowosilcow w Warszawie i Wilnie, stosował djabelską praktykę mordowania ludzi nie tylko fizycznie, ale i moralnie, różniąc oskarżonych między sobą, pokazując im fikcyjne zeznania. Hrabina Teresa, dla której honor męża był równie drogim, jak jego życie, usłyszała z przerażeniem, że liczne areztowania przyjaciół Confalonieriego przypisują jego rzekomym zeznaniom. Nie uwierzyła w to ani chwili, ale ostrzegła męża tajemną karteczką. Był to dla nieszczęśliwego człowieka cios bardzo ciężki. „Brońcie mego honoru i sławy, więcej wartych dla mnie od życia“—błaga Capponiego. „Wyroku się nie boję, owszem będę mu nawet rad. Może wtedy choć zamilkną moi oszczercy“.

W tymże właśnie czasie Metternich zastanawiał się na serjo, czy, wobec niemożności wyciśnięcia zeznań od magnata lombardzkiego, nie uwolnić go, rozgłaszając zarazem, że w śledztwie ugiął się i skruszył, co by go raz na zawsze zabiło w oczach rodaków. Ta piekielna myśl nie została wykonaną, bo cesarz nie chciał wypuścić z rąk niebezpiecznego wroga.

Rok minął a śledztwo mało się posuwało naprzód: „uwięziony hrabia Confalonieri okazał tak upartą stałość podczas długich indagacji, że wszelkie oczekiwania komisji śledczej doznały rozczarowania i jasną jest rzeczą, że jeśli się nie uda skłonić go do zmiany zachowania się, komisja nie zdoła rozjaśnić spraw, powierzonych jej do zbadania należytym światłem“.\*) Komisja wściekała się, ale bądź co bądź Confalonieri był za wielką figurą, aby można było wobec niego użyć gwałtu fizycznego. Liczono, że znęka go choroba, więzienie, samotność, przez rok nie pozwalano mu widzieć się z nikim, nie puszczano go nawet na zwykłą przechadzkę po podwórzu. Jednakże pozwolono mu pisać i otrzymywać listy i przesyłki do domu, co umożliwiała sekretną korespondencję. Wokoło byli ludzie swoi, dla których Confalonieri był jeszcze tym wielkim panem, którego sobie narazić nie chciano.

Pani Teresa cierpiała bardzo wskutek długiej rozterki.

— „Rok minął odkąd było mi wolno zobaczyć cię“ — pisze biedaczka 7 stycznia 1822 — nie pojmuję sama, jak mogłam znieść tak długą prywatę i przypisuję to chyba temu, że nie wiedziałam, ile ona potrwa, bo z pewnością, gdyby mi był kto od razu to powiedział, nie miałabym siły na rezygnację.

Teraz nadzieja uściskania Cię daje mi nowe życie“.

„Rok minął, moja droga“, — odpowiada mąż — „zdrowie moje nie pogorszyło się tak bardzo, a uczucie moje ku tobie — o ile to być może — wzrosło. — Oto nagroda! Ecco la compensazione“! Zamiast wzrosło, powinien był napisać: wzdużilo się. Ciepłe uczucie tkiwości i uznania, do którego tak bardzo tęskniła Teresa przez piętnaście lat smutnego nie-raz dla niej pożycia, uśmiechnęło się jej wtedy dopiero, gdy między nią a mężem stanął mur więzienny.

(c. d. n.)

K, Bielańska.



\*) Ten raport przesłany Metternichowi wydał wraz innymi dokumentami badaczom włoskim hr. Badeni z archiwów austriackich w r. 1911.



## RUCH KOBIECY W FINLANDJI

Czytamy w jednym z kobiecych pism włoskich „Vita Femminile“ zajmujący artykuł o ruchu kobiecym w Finlandji. Jestto interview u pani Liisi Karttunen, młodej, ale bardzo wybitnej uczoney finlandzkiej, obecnie członka poselstwa fińskiego w Rzymie. P. Karttunen ukończyła z chlubeniami odznaczeniami uniwersytet w Helsingforsie, wkrótce zaś potem została członkiem Akademii naukowej w Finlandji i laureatką Akademii literackiej. Przez kilka lat była sekretarką finlandzkiej komisji naukowej do studiów historycznych we Włoszech, pracowała w całym szeregu archiwów we Włoszech i innych krajach europejskich, jako to: Szwecji, Danji, Austrii, Niemczech, Szwajcarji. Ogłosiła już drukiem kilka prac historycznych, głównie z zakresu historii papieżstwa i nuncjatur apostojskich na Wschodzie Europy. Niektóre z tych prac dotyczą także i historii Polski, jak np. teza jej doktorska o działalności dyplomatycznej Possewina, legata papieskiego w XVI w., — oraz prace pod tytułem „Chiffres diplomatiques fin du de Pologne vers la XVI siècle“.

Oto co mówi o swych rodaczkach i swojej ojczyźnie: „Feministek“ w prawdziwym znaczeniu tego słowa — niema u nas wcale. Mamy bowiem dziś już wszystkie prawa narówni z mężczyznami.

Ruch kobiecy rozpoczął się u nas pomiędzy 1880 — 90 r. Było to coś w rodzaju spontanicznego rozbudzenia się świadomości obywatelskiej kobiet naszych. Przędowały, oczywiście, klasy inteligentne, stopniowo jednak ogarniał ten ruch i niższe warstwy ludności.

Przyszedł moment najsilniejszego napięcia uczuć narodowych, pragnienie wyzwolenia się z pod ucisku i przemocy Rosji — i wtedy cały naród nasz solidaryzuje się w tem jednym dążeniu. Znikają wszelkie różnice stanu i płci — czujemy i myślimy wszyscy jednakowo. Kobiety biorą niezmiernie żywy udział w pracy polityczno-społecznej, chociaż nie mają jeszcze praw obywatelskich. Otrzymują jednak te prawa po r. 1905, w chwili, gdy dla Finlandji wybiła godzina wyzwolenia. Prawa te są im udzielone przez parlament bez żadnej dyskusji, jako rzecz naturalna i słuszną się im należącą.

Mamy więc od d. 6 lipca r. 1906 prawa wyborcze dla wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy ukończyli 24 rok życia. W przeciągu tego krótkiego czasu mieliśmy już przeszło 200 kobiet — posłów. Przeciętnie 9 — do 12% naszych posłów — to kobiety. Ciekawy szczegół: posłanki nasze naogół są znacznie mniej gadatliwe, niż ich koledzy — posłowie.

Kobiet pracujących zawodowo, mamy bardzo dużo. Najliczniej reprezentowanymi zawodami są: szkolnictwo i medycyna. Mamy jednak kobiety wśród adwokatów, inżynierów, agronomów, budowniczych, kolejarzy i t. d. Łatwiej przyszłoby mi wyliczyć, w jakich zawodach ich jeszcze nie mamy: oto — pastora, sędziego i... dyplomaty. Te trzy kariery są im jeszcze dotychczas zamknięte.

Dużo kobiet naszych pracuje w zawodzie inżynierskim, lub prowadzi fabryki. Tak np. doktor Atoina Tikander jest dyrektorką dużej fabryki metalurgicznej od lat kilku. W przeciągu pierwszego roku po objęciu przez nią tego stanowiska fabryka zwiększyła swoją produkcję i obrót roczny o 100%.

Zajmujemy także stanowiska rządowe, komunalne i t. d. Jedną z moich rodaczek, panna Amy Kankonen, została obraną na syndykę w Stanach Zjednoczonych. A więc zdobywamy sobie uznanie także i poza krajem! Nadmienię przytem: że podczas, gdy zajmowała to stanowisko, otrzymała od zachwyconych jej dzielnością amerykańców — przeszło 500 ofert matrymonialnych! Widzimy stąd, że nasze „feministki“ nie rezygnują bynajmniej z kobiecości i nie są ani zmaskulinizowane, ani nie brak im urody i wdzięku!

Mamy dużo stowarzyszeń społecznych, założonych i prowadzonych przez kobiety. „Konkordja“ np. ma na celu dopomaganie kobietom pracującym zawodowo lub naukowo przez udzielanie subsydjów. Rozdaje ich corocznie kilka i to w kwotach znaczniejszych. Towarzystwo „Marta“, powstało w czasie wojny i posiadając swoje placówki w całym kraju naszym, postawiło sobie za cel rozbudzenie energii moralnej i praktycznej naszych kobiet z ludu: zachęca do pracy rzemieślniczej we własnym domu, prowadzi kursy gospodarstwa domowego, ogrodnictwa, gotowania i t. d., zakłada czytelnice, kluby kobiet i t. d.

W kraju naszym — kończy z dumą p. Karttunen — pracuje się dużo. Pracują wszyscy: mężczyźni i kobiety. Praca tych ostatnich — to nie miła rozrywka jedynie, nie przyjemne przepędzenie czasu: to obowiązek, szlachetny obowiązek. Kto pracuje — zdobywa prawo do życia — i to nie tylko w znaczeniu materialnym, lecz przede wszystkim — moralnym“.

## LISTY Z POMORZA

Stosunki narodowościowe. Polskość miast. Krzywdy miejscowego żywołu, młodzieży dorosłej szczególnie. Rozkwit młodej Polski. Zasługi mieszczaństwa. Staruszka patriotka.

Dostęp do morza, do którego prowadzi t. zw. korytarz pomorski, to zagadnienie, które wyrokuje o naszej potędze mocarstwowej. Nigdy ono jednak nie będzie w sensie pomyslnym rozstrzygnięte, o ile ludność miejscowa nie poczuje odpowiedzialności bronienia tej ważnej placówki przed obcemi wpływami. Pomimo bowiem wysiłków, czynionych jeszcze przez naszych zechłannych i despotycznych sąsiadów: Niemiec i Rosji, skierowanych do ujarzmiania i wynaradawiania ludów, ogólny rytm światowych dążeń idzie w kierunku usamodzielniania i wyzwolenia narodów. Wola więc ich własna o ich losach stanowić będzie.

Czy polskość na Pomorzu jest już tak silnie ugruntowana, że będzie mogła najmocniejszym atakom niemieckim stawić czoło? Pozornie tak; kraj ten wydaje się zupełnie polskim, wewnątrz jednak żywołu obcy jest jeszcze silny i wpływy jego działają. Zdawało się, że najtrudniej będzie spolszczyć miasta, od wieków bowiem osiedlało się tam mieszczaństwo niemieckie, obejmujące przemysł i handel, tymczasem proces odradzania polskości odbył się w miastach b. szybko, nieco trochę sztucznie, ale faktycznie. Stały się one polskie, jakby przemienione od razu różdżką czarodziejską. A stało się to dlatego, że Niemcy swoją zachłannością teroryzując żywołu polski, obejmowali wszystkie stanowiska kierownicze, zalewali miasta pomorskie masą swojego wojska, chcąc z nich stworzyć, wysunięte na zachód, swoje placówki obronne. Dziś, gdy to wszystko wywodzić z kraju musiało, napłynęła na to miejsce fala Polaków ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej. Żywołu miejscowy, niestety, spychany zawsze na ostatnie miejsce, wychowywany w szkołach niemieckich, a więc nie znający niemal ojczystego języka w słowie i piśmie, nie mógł objąć stanowisk urzędniczych. Wynika z tego wiele cichych tragedji. Szczególnie pokrzywdzona jest ta młodzież, która przed ostatecznymi rezultatami wojny skończyła szkoły niemieckie; wobec zupełnej nieznajomości języka polskiego, nie może ona znaleźć miejsca ani w urzędach, ani w bankach, ani nawet w organizacjach samorządowych i spółdzielczych. Za późno rozpocząć naukę od nowa, lepiej kraj opuścić. Możemy wiele z tych faktów zilustrować doraźnymi przykładami.

Oto aleje parku miejskiego zmiata staruszka, wdając się z nią w rozmowę. Mówi tą mieszaną staropolskiej mowy i naleciałości niemieckich, tutejszej ludności właściwą. Z toku rozmowy okazuje się, że ma trzech synów w Berlinie. „Cóż tu mieli robić? — wzdycha — nie nauczyli ich po polsku. Za to tam mają dobre posady i w urzędach i w banku, jak się patrzy“. „A cóż, czy uważają się za Niemców?“ pytam Staruszkę namyśla się przez chwilę. „Są i będą katolikami“, odpowiada stanowczo, identyfikując oba pojęcia. „A czemu pani nie jedzie do nich, jeżeli tam żyją w dobrobycie?“. „Ja tam już zostanę na swoich śmieciach“, odpowiada i w literalnym wykonywaniu swojego postanowienia, pochyla się nad miotłą i zmiata dalej gorliwie niedopałki papierosów i skrawki papieru, porzucane tu, niestety, w wielkiej obfitości przez ludność napływową. Bo Pomorze stało się terenem istnej, nowej wędrowności ludów. Nie rozmaitej narodowości wprawdzie, ale za to Polaków innej przynależności dzielnicowej. Bardzo wiele wywłaszczonych i steroryzowanej ludności ze wschodnich kresów, tu znalazło bezpieczne schronienie. Zamożniejsi kupowali domy i osiedlili się we wspaniałych posiadłościach czarnych hu-

zarów cesarza Wilhelma, którzy w Toruniu stacjonowali. Przybyło też dużo reemigrantów z Ameryki, ci znów stanowią odłam często nie umiejący ani mówić, ani czytać i pisać po polsku. Jakże smutne są nasze losy, jaką prawdę wypowiedziała Konopnicka: „że nas doła, jak październik po święcie rozprasa”. Poza urzędnikami w województwie, starostwie, magistracie, gdzie na szczęście osiedlił się żywioł miejscowy, w stolicy kraju i we wszystkich miastach Pomorza są liczne kontyngenty wojska, strzec bowiem bardzo silnie trzeba tej placówki. Przeważnie są to ludzie młodzi, którzy korzystając z odpoczynku po trudach wojennych, żeniąc się, stworzyli sobie cichą przystań w życiu rodzinnym. Warunki bytu materialnego są dobre na Pomorzu, artykuły o połowę tańsze, niż w Warszawie, brak życia gorączkowego z jego walką o byt, sprawia, że młode mateczki nie potrzebują starać się w biurach o pracę zarobkową, ale mogą się oddać całkowicie swoim pociechom. Nie może więc być przyjemniejszego widoku, jak tutejsze parki miejskie wózkami dzicinami i mnóstwem zdrowych, roześmianych dzieci wypełnione. Biega to, goni się, hałasuje, a wszystko dziwnie ubrane; dziewczynki, w modnych obecnie, krótkich, różnobarwnych sukienkach, w wysoko stojących kokardach na jasnowłosych główkach, dzielne tegie chłopaki w majteczkach na szelki na koszuli zapiętych, bo taki jest ostatni nakaz mody sportowej. Rośnie i rozwija się młoda Polska, wolna już, a więc zdrowsza, silniejsza, o mocniejszych nerwach. Gdzie jednak jeszcze oprócz Magistratu mieści się żywioł miejscowy, owi Pomorzanie co oparci o katolicyzm, strzegli wytrwale swej odrębności narodowej? Na wsi trzymają się twardo ziemi rodzinnej, obronionej od komisji kolonizacyjnej, w miastach pracują w handlu i rzemiosłach, gdzie dawniej konkurowali dzielnie z Niemcami w rzetelności kupieckiej, nie dopuszczając żydowskiego elementu. Ta samowystarczalność jest ich nieocenioną zasługą narodową. W głębi dusz swoich chowali też patriotyzm niczem nie zwalczony.

Oto jeden z obrazków, ilustrujących tutejsze uczucia i nastroje. Cmentarz, jeden z najpiękniejszych w Polsce, pełno tu kwiatów i rzadkich roślin i krzewów; każdy chce w ten poetyczny sposób uczcić pamięć swoich najdroższych.

Czy to wskutek tolerancji rządzącego tu, do niedawna, protestantyzmu, czy dlatego, że władze pruskie chciały zniwelować wszelkie różnice pomiędzy podwładną sobie ludnością, dość, że Polacy i Niemcy ułożyli się razem na sen nieprzespany. Proces wzajemnego przenikania się tych dwóch narodowości, ciągnął się tu od wieków. Dopiero jednak rok 1874, czas kulturkampfu, wprowadzonego przez butą niemiecką, po wygranej wojnie francuskiej, zaznacza się jakby spotęgowaniem uczuć polskich na Pomorzu. Dawny niemiecki napis na kamieniach grobowych: „Ruhestaette“ zamienia się na polski: „Prosi o Zdrowaś Marya”. Odczuwa się za tym murem cmentarnym, że ci gnębieni i wynarodowiani, po za swoim katolicyzmem, chcą jeszcze być Polakami. Przy jednej z mogił, otoczonej dokoła kamieniami grobowymi w niemieckimi napisami, spotykamy modlącą się staruszkę. Prosimy ją, po niemiecku, o wskazanie nam drogi w labiryncie uliczek cmentarnych. Nie odpowiada, w milczeniu wskazując nam tylko na napis polski kamienia, przy którym kłęczą: „Tu spoczywa rodzina Sobczaków”. A gdy ją przepraszamy serdecznie za pomyłkę, rozpoczyna rozmowę z radością, witając gości z Warszawy. „Jakże długo mowa polska“, szepcze, „była dla mnie jak odgłos dzwonu, jakiejś dalekiej pieśni“. I mówi dalej ślicznie, archaicznym stylem, z dawnych książek czerpanym, ostatnio z Chociszewskiego, bardzo popularnego w b. zaborze pruskim. Dwóch synów straciła w wojsku pruskim, za cudzą sprawę i tylko ostatni 18-to letni powiatał wracający na Pomorze Wojsko Polskie. „Ach, jak je tu przyjmowaliśmy! poszły na to wszystkie oszczędności z wieloletniej pracy. Mieliliśmy duży zakład krawiecki w rynku i wiodło nam się dobrze. Od rana do nocy przebywali u nas polscy żołnierze, a ja smażyłam dla nich, i piekłam po całych dniach.

A potem, gdy w 1920 r., Warszawa była zagrożona „mój ostatni“, poszedł na ochotnika. I wymodliłam to sobie, że zdrów, nietknięty, i wróci mi. Ale tu staruszka smutno się zamysła. „I jeszcze wyznam paniom jedną tajemnicę, co mnie dręczy. Zrobiłam sobie ślub, że gdy orły polskie ukażą się na ratuszu w Toruniu, na kłęczkach pójdę do kościoła p. Marji. I nie spełniłam ślubu... nie śmiałam. Tyle zła mi się naraz wśród swoich objawiło, że przyszło zwątpienie... Może nie potrafimy wielkiego domu utrzymać, może go jeszcze nie jesteśmy godni...”

Zamieniamy z patriotką polską uścisk siostrzany i dodajemy jej otuchy. Polska rośnie w siłę, odradza się i wyjdzie z trudności i nagromadzonego zła, zwycięsko.

T. W. K.

## Z KSIĄŻEK

JERZY SZANIAWSKI — „Miłość i Rzeczy Poważne“, powieść, wyd. Książki Ciekawe, r. 1924 str. 120.

W scenicznych utworach Szaniawskiego, w „Lekko Duchu“, w „Ptaku“ panuje cudna, jednodniowa, jak motyl, królowa, „poezja triumphans“, tem potężniejsza, że choć walczy z nią cała armia szablonów i utartych form życia, nikt jej zdebronizować nie potrafi.

Ta poezja raz jest złocistym ptakiem, wyhodowanym na poddaszu młodego poety-urwipolcia, to znów pilotem w czerwonym fraku. „Lekko Duchem“ powietrznym, który schodzi na ziemię raz jeden w życiu każdej kobiety, jak słoneczna zjawa miłości prawdziwej „il perfetto amore“.

Tutaj ma ona czerwony kapelusik, smutne oczy i prześliczne nogi Hani, biednej guwernantki w domu wzorowym ludzi normalnych, sytych, dostatnich i dostojnych, dla których istnieją tylko „rzeczy poważne“, a miłość, poezja i tym podobne dzieciństwa zamyka się w kategorii rzeczy niemal droższych.

Więc Hania—poezja odchodzi z zimnego domu tradycji, konwenasów, cnotliwego kłamstwa, ucieka ukradkiem, nocą, jak złodziejka, ubrana w kosztowne futra i klejnoty, jedyny surogat poezji w życiu biednych, szarych, bogatych ludzi.

Oto wszystko, co mogła od nich wziąć za skarby bezcenne, których oni od niej brać nie umieli.

Dlaczego Szaniawski tym razem czarodziejką—poezję zamknął do więzienia? Z punktu widzenia psychologii Hani—guwernantki, jest to zgola nieusprawiedliwionem. Nocna ucieczka, połączona z kradzieżą, zainscenizowana tak naiwnie, tak kinowo, pasuje może do ciasnego marzycielstwa Hani, ale jako fakt, jest niespodzianką w rozwoju wypadków, pomysłem dysonansowym, kapryśnym, niekonsekwentnym.

A może właśnie o ten irracjonalizm poezji chodziło autorowi? O pokazanie, że w pewnym świetle i pod pewnym kątem nawet brednia może być cudem, a majaczenie poezją?

Bo przecież czysta poezja nie jest dziś biedną, zapoznaną guwernantką o smutnych oczach i klasycznych kształtach, uczącą savoir vivre'u dzieci dorobkiewiczów, albo zamkniętą w więzieniu przez normalną procedurę „rzeczy poważnych“?

O jednej tylko sprawie zapomniał Szaniawski, o tem, że, aby w pełni zasugerować czytelnika, trzeba uczynić go widzem.

Brednia może się stać cudem, a majaczenie poezją, wówczas, gdy się działa przez scenę. Napewno i „Ptak“ i „Lekko Duch“ w czytaniu razilyby temi samymi niekonsekwencjami, które w blasku kinkietów zmieniają się w tęczyowy kaprys poety.

Tem niemniej „Miłość i rzeczy poważne“ jest nowym, poważnym atutem w rękach miłośnika poezji. Bańka mydlana unosi się, zostaje wspomnienie tęczy. Tęczy rozpiętej jak łuk triumfalny nad wzorowym życiem

„normalnego“, przyzwoitego człowieka, który nigdy nie odważył się być sobą, choć poezja objawiła mu się w całej swej krasie i mocach pokusy.

Poezja biało-siwych murów i wiosennych kasztanów, których „wielkie, złotawe paki, na szarych gałęziach płoną blade w słońcu, jak świece zapalone w dzień“.

St. Podhorska — Okolów.

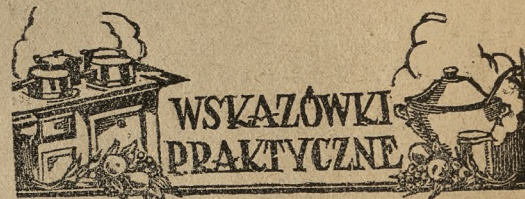
## Przygotowania do wystawy paryskiej

T-wo „Zdobnictwo Polskie“ w ścisłym porozumieniu z Delegatem Rządu i Polskim Komitetem międzynarodowej wystawy nowoczesnych sztuk dekoracyjnych w Paryżu, organizuje wystawę przeglądową polskiego przemysłu artystycznego w Warszawie w styczniu 1925 r., celem wybrania najlepszych prac na wystawę paryską.

Równocześnie, chcąc wykorzystać wszechświatowy rynek zbytu, jakim jest Paryż i propagować polski przemysł artystyczny, T-wo „Zdobnictwo Polskie“ przekazało zorganizowanie odrębnej sprzedaży wyrobów pol. przem. artyst. w Paryżu nowej placówce handlowej p. f. „Polska Sztuka Zdobnicza“ powstającej z inicjatywy T-wa „Zdobnictwo Polskie“.

Wobec tych doniosłych poczynań dla polskiej sztuki dekoracyjnej T-wo „Zdobnictwo Polskie“ zwraca się z apelem do wszystkich artystów i wytwórców w przemyśle artystycznym o wzięcie udziału w wystawie przeglądowej, która dostarczyć powinna nie tylko eksponatów odpowiednich na wystawę paryską, lecz i takich, które na paryskim rynku zbytu śmiało konkurować będą mogły z podobnymi innych krajów.

Sekretarjat T-wa „Zdobnictwo Polskie“ w Warszawie, ul. Szczygła 1, (godz. 6 do 7 w.) przyjmuje zgłoszenia i wysyła regulaminy wystawy i deklaracje.



### PORZĄDKI JESIENNE

Początek roku szkolnego, i związany z nim powrót z letnisk, — jest początkiem ciężkiej kampanji pracy dla każdej gospodyni. Nie mówiąc już o kłopotach, połączonych z wykonywaniem działań na zimę, — wyrosła i wydarła się doszczętnie ze wszystkiego przez lato, — o kosztach ogromnych przy zaopatrzeniu w podręczniki i utensylja szkolne, — sam dom po lecie przedstawia zwykle pustynię i ruinę. Wprawdzie to, co w zimie nie ucierpiało, zostało należycie przechowane od szkodników na wiosnę, ale dopiero jesienią się widzi wszystkie szecerby i braki i należy nie odkładając starać się je uzupełnić. Zanim jeszcze trwa ładna pogoda i dni są długie, łatwiej jest chodzić po mieście, wynajdywać i nabywać potrzebne przedmioty, — zanim sił i energii, po wywczasach letnich, jest więcej, — należy je wykorzystać. Gdy przyjdą dni ciemne, słotne i krótkie, będziemy mogły spędzać je w mile urzędowniczych kątach, nie narażając się na przemoknięcia i przeziębienia. Naprzód więc zacinjmy od generalnej rewizji futer i ubrań zimowych, czem wcześniej je doprowadzimy do porządku, tem taniej nam to wypadnie, sztuka kuśnierka stoi tak wysoko, że nieraz bardzo użyta rzecz, daje się jeszcze do przyzwoitego wyglądu doprowadzić, — muszę przytem zwrócić uwagę pań na to, że tyle z nich się uczy kroju i modniarstwa, a tak mało przechodzi kurs kuśnierstwa, znacznie mniej skompliko-



wanego, — wiadomości zaś z tej dziedziny, bodaj tylko w rodzinie stosowane dałyby olbrzymią oszczędność, gdyż i robota kuśnierzy jest droga, i kuśnierzy uczciwych podobno jest niesłychanie mało. Po futrach suknie zimowe, im wcześniej, przed głównym sezonem oddamy do przerobienia, tem taniej ich uporządkowanie nam wypadnie. Bielizna stołowa i pościelowa starannie wylana, wycerowana jesienią, przetrwa jeszcze zimę całą, a każda pozostawiona dziurka wyrośnie w ogromną dziurę i nieraz całą sztukę zrobi niezdatną do użytku dalszego. Szczególniej kosztowne dziś bardzo prześcieradła należy starannie przejrzeć, i jeśli nawet dziur nie mają, lecz środki ich zaczynają się zlekka przecierać, należy niezwłocznie rozciąć je przez środek, brzegi zeszyć z sobą w rękę, okrętką, lub w maszynie podwójnym szwem bieliznowym, przez co się uformuje nowy, mocny środek, brzegi zaś nieco przetarte, porządnie obrębione, nie zużywają się tak mocno jak środek, dłuższy czas jeszcze służyć będą mogły.

Sztory, chociaż prane wiosną, tyle przez lato kurzu wchłonęły, że przed zimą powtórnie je uprać należy, firanki zaś uprane wiosną, dopiero jesienią nakrochmalic i uprasować należy. Najlepiej po nakrochmaleniu wyciągnąć je i ponabijać świeczkami, na specjalnie w tym celu sporządzone ramy, w braku ram można je rozciągnąć na czystej posadzce, niestety jednak w przeludnionych mieszkankach miejskich i na to rzadko kto pozwolić sobie może. Gdy tak rozpięte wyschną dobrze, leciutko tylko się je prasuje. Trudniej jest je uprasować bez uprzedniego rozpinania, należy je wtedy prasować w poprzek tylko, gdyż inaczej się wyciągną i będą za wąskie.

Dywany po rozpakowaniu należy zaraz powtórnie przewietrzyć i zlekka wytrzeć, o ile miejsce, gdzie się latem przechowywały, nie było zbyt suche, należy je nawet godzin kilka trzymać na powietrzu, aby dobrze przeschnęły, — nic tak nie niszczy dywanów jak wilgoć. Przed położeniem dywanów, posadzki należy przetrzeć. Najlepszą zaprawą do posadzek, znacznie tańszą od wszelkich gotowych, kupnych, jest mieszanina z litra terpentyny, funta wosku, z dodatkiem pół litra benzyny. Wosk się rozpuszcza w dużym naczyniu, poczem ostrożnie na zamkniętej fajerce wlewa się doń terpentynę, miesza na ciepłej blasze, aż się doskonale zmieszają obie ingredjencje, wtedy się odstawia od ognia i w pokoju, gdzie niema ognia, dolewa, wciąż mieszając, benzynę, — mieszając należy, aż masa zupełnie ostygnie. Tą masą, wziętą na czystą ściereczkę, naciera się raz przy razie wyszorowaną czysto posadzkę, daje przeschnąć godzin parę, poczem froteruje szczotkami, jak zwykle, a nakoniec mocno wyciera suknem. Zaprawa taka daje nadzwyczajny połysk posadzce, benzyna w niej zawarta, czyści, drobne plamy, pozostałe po szorowaniu i plamy tłuste, nie dające się niczem innym usunąć, brak zaś wszelkiej farby, do zwykłych zapraw dodawanej, powoduje, że rysunek tafelek drzewnych i kolorowe inkrustacje występują jasno, i cała posadzka nabiera pozorów nowości. Pozostaje mi dodać słów kilka o tak zwanem odnawianiu mieszkanki, które obecnie sprowadza się przeważnie do wybielenia ścian gliną kolorową lub białą, tapety dawniej powszechnie używane znikły zupełnie z codziennego użycia, — otóż to malowanie ścian, świadczy zawsze prawie o zupełnym braku gustu, wykonywanego je majstra i o obojętności na te okropności różowe, niebieskie, ba nawet zielone i żółte, właścicieli mieszkanki. Jest cała gama ślicznych perłowych i złocistych tonów, które oddzielone jakimś barwniejszym szlakiem, jakimś wiązkami kwiatów stylizowanych od bieli sufitu, dają miłe i gustowne wnętrza, dające się zastosować do każdego rodzaju sprzętów, do kilimów i pasiaków, dziś tak modnych. — Wymagajmy od panów majstrów, żeby i nasze gusty brali pod uwagę.

Pani Elżbieta.

## KONFITURY.

(Ciąg dalszy)

Zanim będę pisała dalej, odpowiem na pytanie czytelniczki, czy benzoes jest środkiem nieszkodliwym i w jakim celu się do konfitur używa. Otóż na początku mego kursu smażenia konfitur mówiłam wyraźnie, że benzoes jest środkiem absolutnie nieszkodliwym, zupełnie bez smaku, i doskonale konserwującym, tak dalece, że za pomocą benzoesu, można konserwować przetwory owocowe, gotowane nawet bez cukru. — Szanowna czytelniczka widocznie to przeoczyła.

**Dereń.** Wyborny ten owoc specjalnie się nadaje do wyrobu konfitur i nalewek, do jedzenia na świeżo jest zbyt cierpki, konfitury zeń są nadzwyczaj łatwe i proste. Dereń można smażyć drelowanymi i niedrelowanymi, we wszystkim dalej się postępuje, jak z wiśniami.

W znanej kijowskiej fabryce konfitur i owoców suszonych Bałabuchy, wyrabiano wyborne konfitury z dereni, w których pestki były zastąpione słodkim migdałem. Ponieważ sama tego sposobu nie próbowałam, więc nie mogę go uczciwie czytelniczkom podać, natomiast jadłam je nieraz, i mogę stwierdzić, że w smaku są wyborne i wyglądają ślicznie. Sądzę, że po wydrelowaniu do surowego derenia wsuwa się oczyszczony z łupinki nieduży migdał, poczem się smaży owoce, układając je jeden obok drugiego w bardzo gęstym syropie, którego jest w miednicze tylko tyle, aby owoce pokrywał. Jest to jednak tylko moje przypuszczenie. Inaczej smażyć musiałoby migdały z owoców powypadać.

**Berberys.** Najpracowitsze z konfitur, gdyż jagódki berberysu są bardzo drobne, i aby ich jakie dwa funty nadrelować, należy zużyć całe popołudnie. Natomiast wykwiwny smak tej konfitury, szczególnie przez silnie gorączkujących chorvch mile widziany, sprawia, że kto tylko ma berberys i czas po temu, winien spiżarnię w ten wybory smakoyk zaopatrzyć.

Na funt wydrelowanego berberysu bierze się dwa i pół do trzech funtów cukru, na funt cukru szklankę wody. Gdy syrop zawrze, starannie go zszumować, wrzucić nań berberys i smażyć na dosyć silnym ogniu, aż jagódki się wypełnią i staną przezroczyste, co dosyć prędko zwykle następuje. Do gotowych konfitur, na każdy ich kilogram, dodać pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody.

Berberys należy dla ostudzenia przelać w naczynie porcelanowe lub fajansowe, gdyż jako bardzo kwaśny, ostudzony w mosiężnej miednicze, mógłby się stać szkodliwym.

**Borówki.** Przeważnie używane na sałatę, mogą jednak być smażone na konfiturę, różnicę będzie stanowiło bardziej staranne przyrządzenie i większa ilość cukru.

Na funt starannie przebranych borówek, należy wziąć pół funta słodkich gruszek i pół funta słodkich jabłek, jak pierwsze tak i drugie obrać i pokrajać na ćwiartki, — razem będziemy mieli zamiast jednego funta, dwa funty owocu, na ilość tę należy więc wziąć dwa funty cukru. Oprócz tego na cztery funty owocu przygotować oczyszczoną z białej warstwy skórkę z jednej pomarańczy, pokrajaną w jaknajdrobniejsze paski. Na funt cukru szklankę wody, gdy syrop zawrze, zszumować go i wrzucić nań borówki. Po piętnastu minutach dodać pomarańczową skórkę i parę goździków, po dziesięciu minutach jeszcze gruszki, i nakoniec jabłka. Gdy jabłka i gruszki staną się czerwone i miękkie, konfitura ma dosyć.

Borówki mają tyle własności konserwującej, że benzoesu do nich dodawać niema potrzeby. Układa się je, ciepłe jeszcze, do ogrzanych (aby nie popękały) słoików i po dobrem zastudzeniu (zwykle po wierzchu scinają się, jak galareta,) obwiązuje pergaminem lub papierem.

**Brzoskwinia.** Niezmiernie wykwiwna konfitura, szczególnie jeśli ją usmażymy z całych owoców. Jednak i z połówek konfitura będzie dobra, należy tylko, dla aromatu, dodać utłuczone i wyjęte z łupin ziarnka brzoskwińowe, które wiele aromatu dodają. Do smażenia należy wybrać owoc nawpółdojrzały, (zupełnie zielone nie mają właściwego smaku jeszcze), nakłuć gęsto srebrnym widelcem lub drewnianą igłą i wrzucić w wodę, aby nie czerniała.

Na funt brzoskwini bierze się nie mniej dwóch funtów cukru, gdyż duży ten owoc ładnie usmażony, powinien swobodnie pływać w pokrywającym go syropie. Połowę cukru zagotowuje się na syrop, biorąc tylko pół szklanki wody na funt cukru, gdyż brzoskwini, jako bardzo soczyste, dużo soków z siebie wypuszczają. Zlewanie, zagotowywanie, z dodaniem cukru i ponowne zalewanie coraz to cieplejszym syropem, należy powtarzać do czterech razy, aby brzoskwinię jeszcze przed właściwym smażeniem przesiąkły syropem. Po ostatnim zagotowaniu syropu na wrzący wkłada się brzoskwinię, zagotowuje raz jeszcze, poczem smaży na jaknajwolniejszym ogniu, odstawiając co dziesięć minut od ognia. Gdy owoc przezroczysty, a syrop gęsty, dodaje się zwykłą proporcją benzoesu, konfiturę zastudza i przekłada do słoików.

Smażąc brzoskwinię w połówkach, postępuje się zupełnie tak samo, tylko zachowuje jeszcze więcej ostrożności przy zalewaniu i smażeniu, ażeby puszysta skórka, stanowiąca właściwość brzoskwini nie podpadała. Pestki się tłucze i ziarnka wkłada w konfiturę dla nadania jej aromatu.

**Winne grona.** Po usmażeniu mają delikatny, winny aromat, — u nas, jako konfitura zupełnie nieznaną, w Rosji dosyć rozpowszechnioną. Na konfitury należy brać gatunek o bujnych jagodach i niedużej ilości ziarn, te ostatnie należy ostrożnie ostrą, dużą szpilką usunąć, gdyż dają niemiłą cierpkosć konfiturze. Nie jest to wcale łatwe ani prędkie do wykonania, jeżeli nie chcemy zepsuć całej jagody, w każdym razie, dużo trudniejsze od drelowania.

Na funt winogron starczy funt cukru. Smaży się dalej winne grona jak drobne śliwki, zalewając parę razy syropem i dosmażając je z przerwami. Benzoes jest niezbędny, gdyż winne grona w konfiturze mają, szczególnie w drugiej połowie zimy specjalną skłonność do fermentowania. Jest to smaczna i ładna, zasługująca na rozpowszechnienie konfitura.

(d. n.)

Pani Elżbieta.

**Kooperacja Pszczelarzy**  
przy NACZELNYM ZWIĄZKU Tow. pszczelarskich  
„BARC” w Warszawie, ul. Miodowa 14,  
w podwórzu, tel. 62-38.  
z nadstawkami i deskami ogrodowymi.  
KÓSZKI słomiane  
ULE różnych systemów. MIODARKI PODKURZACZE,  
KRATÓWKI i różne przybory pasieczne.  
WEZE sztuczna z czystego pszczelego wosku za gotówkę i wymienia za 1/3 wosku.  
Kupuje miód, wosk i przyjmuje do komisowej sprzedaży.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU  
**PIG. CHLOROFILOWE**  
GESSNERA  
115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

# QUAKER OATS



oryginalne płatki owsiane dla  
dzieci, chorych i rekonwalescentów,  
niezmiernie pożywne i lekko strawne

SPRZEDAŻ HURTOWA

TOW. AKC.

## LAMBERT i KRZYSIAK

WARSZAWA, ul. NIECAŁA № 8.

228

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 37

457. Paltocik dla dziewczynki od lat 8 do 12 z miękkiej wełny w prążki, z szalem zamiast kołnierza.

458. Palto z brązowego zamszu, przybrane guzikami rogowymi.

459. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z granatowej wełny, przybrana czarną taśmą.

460. Kapelusz—cylinderek z filcu popielatego, otoczony szeroką aksamitką.

461. Szal i czapka z szarego trykotu, wyszyte wełną niebieską.

462. Kapelusz z czarnego aksamitu, przybrany taśmą ze srebrnej lamy.

463. Kapelusz z aksamitu w dwóch kolorach lila, przybrany szarymi rajerami.

464. Kostjum jesienny z jasnej popielatej wełny, przybrany materiałem ciemniejszym, popielatym.

465. Bluzka z białego woalu, haftowana barwnymi jedwabiami.

466. Skromna sukienka z granatowej wełny, przybrana z przodu trzema falbanami, kołnierzyk i mankiety białe.

467. Sukienka na ulicę z gładkiej wełny, przybrana kamizelką z odmiennego materiału i taśmą jedwabną.

468. Kapelusz z filcu brązowego, otoczony szeroką aksamitką.

469. Szal i czapka z trykotu wełnianego koloru wiśniowego, wyszywane czarną wełną.

470. Kapelusz z aksamitu, przybrany kłamrą dżetową.

471. Kapelusz z czarnego aksamitu, przybrany białą rypsovą wstążką.

472. Sukienka dla dziewczynki od lat 10 do 14 z lekkiej wełny, układana w kontra-fałdy. Pasek lakierowany.

473. Sukienka jedwabna, przybrana kłozową falbaną. Kołnierzyk z długimi końcami.

474. Kostjum jesienny. Spódnica z materiału w kratę — żakiet w jednym kolorze, odpowiednim do spódnicy.

475. Płaszcz jesienny. Kołnierzyk i pasek ułożone w drobne pliseczki z tego samego materiału.

## PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie . . . . . 48 zł. — gr.  
kwartalnie . . . . . 12 „ — „  
miesięcznie . . . . . 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie . . . . . 8 zł. — gr.  
zmiana adresu . . . . . — „ 30 „

### CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona . . . . . 90 zł. — gr.  
 $\frac{1}{2}$  „ . . . . . 51 „ 75 „  
 $\frac{1}{4}$  „ . . . . . 29 „ 25 „  
 $\frac{1}{8}$  „ . . . . . 15 „ 75 „  
 $\frac{1}{16}$  „ . . . . . 9 „ — „  
 $\frac{1}{24}$  „ . . . . . 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na  $\frac{1}{4}$  część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

## MASZYNY DO SZYCIA



znanej dobroci „KASPRZYCKIEGO“  
Tanio—Hurtowo—Detałicznie  
RATY.

Skład Fabryczny

THE KASPRZYCKI COMPANY

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 153 TEL 104-51

Oddział: Częstochowa, Aleja 43.

ZAMAWIAĆ MOŻNA LISTOWNIE W WARSZAWIE.

2

## OD KASZLU i PRZEZIĘBIENIA

UŻYWAJ

### „PASTYLKI NEO-VALDA“

Wyrobu Laboratorium Chemiczno - Farmaceut.

B. KROGULECKI W WARSZAWIE

Żądać w aptekach i składach aptecznych

251

476. Bluzka z surowego jedwabiu z barwnym krawatem.

477. Wzór na serwetkę. Haft kolorowy. Wielkość naturalna 48x48.

478. Wzór na serwetkę. Haft kolorowy. Wielkość naturalna 43x36.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

### TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznie na blankietach czekowych P. K. O.

## OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i l. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.